



Karen Foley



Zakładnik

ROZDZIAŁ PIERWSZY

W normalnych okolicznościach Colton Black drugi raz nie spojrzałby na tę dziewczynę w luźnym T-shircie, czapce z daszkiem i z plecakiem. Chłopcyce nie były w jego typie. Tylko długi jasny koński ogon i miło zaokrąglone pośladki pod spłowiałymi džinsami świadczyły o jej kobiecości. Nie to jednak przyciągnęło jego uwagę. Colton dostrzegł, że dziewczyna ma broń.

Kiedy podniósł wzrok znad talerza, duży grayhound wtoczył się na zwirowany parking przy międzystanowej numer 80 w Lovelock w stanie Nevada. Z autobusu wysiadło kilkoro podróżnych, by się odświeżyć, nim znów do niego wsiądą, albo zaczekać na kolejny autobus, do którego chcieli się przesiąść. Była wśród nich przemęczona matka, która ciągnęła za rękę marudzącego chłopca, para starszych ludzi i młoda kobieta w czapce z daszkiem.

Podróźni weszli do baru, a Colton wrócił do gazety i jedzenia. Gdy później o tym myślał, nie potrafił wyjaśnić, co kazało mu znów podnieść wzrok. Dziewczyna przystanęła obok kasjerki i spojrzała na półkę z gumami do żucia i miętówkami. Jakiś zagadkowy szósty zmysł, który przy licznych okazjach uratował Coltonowi skórę, i tym razem dał mu sygnał.

Dziewczyna wsunęła rękę pod T-shirt, zawahała się i opuściła rękę. Colton zdążył jednak zobaczyć metaliczny błysk schowanej pod T-shirtem broni.

Po chwili dziewczyna odwróciła się do kasjerki, znów się zawahała, potem jakby zmieniła zdanie. Od-sunęła się, udając, że patrzy na stojak z gazetami, głęboko nabrała powietrza, jakby się do czegoś szykowała, po czym już zdecydowanie obróciła się do siedzącej przy kasie kobiety. Colton właśnie się podnosił, gdy gwałtownie zakręciła się na pięcie i minęła go z pochyloną głową, kierując się na tył sali i mrucząc pod nosem coś, co brzmiało jak: Idiotka.

Sięgnął po portfel i rzucił na stolik parę banknotów. Powoli ruszył na tyły niewielkiego baru, gdzie zniknęła dziewczyna. W małej wnęce znajdował się aparat telefoniczny, tuż obok drzwi do jedynej w tym barze toalety, zajętej przez matkę z synem. Colton słyszał zza drzwi płacz dziecka.

Na pozór nonszalancko oparł się o ścianę, jakby czekał w kolejce do toalety, jednak wcale nie musiał udawać. Dziewczyna wydawała się nieświadoma jego obecności. Stała do niego tyłem i mówiła coś pod nosem. Podejrzenie przypominało mu to scenę z filmu „Thelma i Louise”.

Poruszyła ramionami, przyjęła buńczuczną postawę i od nowa zaczęła cichym chrapliwym głosem:

- W porządku, panie i panowie, wszyscy kładą się na podłozie. Jeśli zachowacie zimną krew, nikomu nic się nie stanie. - Jęknęła i przygarbiła się. - Nie dam rady, nie zrobię tego.

- Całe szczęście - odezwał się Colton - bo jestem na wakacjach i cholernie by mi się nie podobało, żeby mi je zepsuła głupia smarkula, która chce zgarnąć trochę kasy w niezgodny z prawem sposób.

Na dźwięk głosu dziewczyna raptownie się odwróciła. Niezdarnie sięgnęła pod T-shirt i nerwowym ruchem wyciągnęła rewolwer. Ręce jej drżały, ale była dość blisko, by pociągnąć za spust i trafić, gdyby się na to zdecydowała. Colton zamarł i uniósł ręce, ale się nie wycofał.

- Nie ruszać się - rzekła pełnym napięcia głosem. - Jeden krok i będę strzelać.

Nie spuszczał wzroku z jej twarzy, ale zdążył jej się przyjrzeć. Obiema rękami ścisnęła rewolwer i celowała w środek jego ciała. Zdawało mu się, że rewolwer nie był odbezpieczony. Nim dziewczyna naciśnie dźwignię bezpieczeństwa, bez kłopotu odbierze jej broń.

Zerknął na gości. Starsza para siedziała w boksie. Kelnerka po pięćdziesiątce o zmęczonej twarzy notowała ich zamówienie, starszy mężczyzna przy barze lekko kołysał szpakowatą głową nad filiżanką kawy.

Colton westchnął. Pora zakończyć tę zabawę. Jeśli zrobi to skutecznie, ci w barze nawet się nie zorientują, co działo się za ich plecami. Dziewczyna uświadomi sobie, że jest bezbronna, gdy będzie już za późno. Zabierze jej broń, pchnie ją na ścianę i zawiadomi policję. Może uda mu się przed zapadnięciem zmroku dotrzeć do domku letniskowego.

Wtedy właśnie dziewczyna przekrzywiła głowę, a wpadające przez brudne szyby przytłumione światło rozlało się po jej twarzy. Colton patrzył teraz prosto w oczy o barwie starej whisky, ocienione przez osobliwie, w porównaniu do koloru tęczy, ciemne rzęsy.

To nie dziewczyna. To kobieta.

Ocecił ją na dwadzieścia kilka lat, mogła zbliżać się do trzydziestki. Owalna twarz o delikatnych rysach, wysokich kościach policzkowych i wąskim prostym nosie. Dołek w brodzie świadczył o sile lub uporze, któremu zaprzeczała miękkość pełnych warg. Ale to jej spojrzenie kazało mu podnieść ręce w niemym geście poddania. Kobieta była przerażona.

I zdesperowana.

Dwa razy w życiu widział to spojrzenie. Raz, kiedy zapędził w róg małego lisa, który zabłądził do jego letniskowego domu. Kiedy się zastanawiał, jak pozbyć się intruza, myślał, że zwierzę albo go zaatakuje, albo umrze na atak serca. W końcu odsunął się na bok, otworzył drzwi z siatki i patrzył, jak lisek rzucił się do ucieczki.

Drugi raz... Cóż, niestety nie mógł powiedzieć, że sytuacja była tak prosta jak z lisem. Niechętnie wracał pamięcią do incydentu w sądzie federalnym w San Diego przed sześciu laty. Do budynku sądu wszedł mniej więcej szesnastoletni chłopak. Kiedy mijał detektory metalu, uruchomił alarm. Colton stał wówczas przed jedną z sal, chronił mężczyznę, który stawiał się na rozprawę za zamkniętymi drzwiami. Nie było wątpliwości, że pozwany to męt oskarżony o porwanie, gwałt i morderstwo, ale przysługiwała mu ochrona. Zadaniem Coltona było dopilnowanie, by oskarżony wyszedł z sądu cały.

Kiedy rozległ się alarm i strażnicy rzucili się zatrzymać chłopca, ten wyrwał się im i pognął przed siebie korytarzem z twarzą wykrzywioną cierpieniem i determinacją. Colton nigdy nie zapomni pisku podeszew sportowych butów chłopca na lśniącej marmurowej posadzce holu. Z wyciągniętą bronią ruszył naprzód, by zastąpić mu drogę. Chłopak gwałtownie się zatrzymał, unosząc ręce, by nie stracić równowagi. Zobaczywszy zbliżających się strażników, sięgnął do dżinsowej kurtki i wyjął z niej broń.

Bezsprzeczna desperacja, która malowała się na jego twarzy, sprawiła, że Colton zawahał się przez jedną, za to fatalną sekundę. Krzyknął, by powstrzymać chłopca, a jednocześnie rzucił się na niego, by go rozbroić.

Za późno. Chłopak przyłożył do skroni rewolwer. W wysokim korytarzu odbił się echem odgłos wystrzału. Chłopak padł na podłogę, nim echo umilkło. Colton dowiedział się później, że zamierzał zabić mężczyznę, którego on chronił, bo to jego dziewczynę oskarżony porwał, zgwałcił, a następnie zabił.

Teraz na twarzy stojącej naprzeciw niego kobiety Colton dostrzegał tę samą determinację. Zaciśnęła wargi i celowała w jego serce, starając się opanować drzenie rąk.

- Spokojnie - rzekł Colton. - Może odłoży pani broń? Na pewno da się to inaczej załatwić. A pani wcale nie chce tego zrobić.

Spojrzała mu w oczy, po czym przeniosła wzrok na parking za oknami.

- Czy któryś z tych samochodów należy do pana?

Powiódł wzrokiem za jej spojrzeniem, zgadując, co jej chodzi po głowie.

- Tak, proszę pani.

Niech to szlag. Może stracić odznakę, ale nie miał wyboru. Niezależnie od tego, w jakie tarapaty wpakowała się ta kobieta, instynkt mu podpowiadał, że aresztowanie jej nie było rozwiązaniem, a może nawet wytrąciłoby ją kompletnie z równowagi. Za skarby świata nie chciał jej mieć na sumieniu.

Kobieta wskazała bronią na drzwi i w tym właśnie momencie Colton sobie uświadomił, że go wykiwała. Kiedy machnęła rewolwerem, na końcu lufy dojrzał zadrapanie, spod którego wзираł pomarańczowy plastik. To była zabawka, a swoją drogą kolorowy plastik służył właśnie do tego, by nie pomylić go z prawdziwą bronią. Tak czy owak jak na zabawkę była to cholernie realistycznie wyglądająca replika.

- Dobrze, zawiezie mnie pan gdzieś. - Uniosła głowę i zmrużyła oczy. - Tylko niech pan nie próbuje nic głupiego, bo jestem... jestem dobrym strzelcem.

Colton zachował powagę.

- Nie wątpię, proszę pani.

Był szczerze zaciekawiony, jak daleko kobieta się posunie. Podczas jedenastu lat pracy w policji widział niejedno dziwactwo, nigdy jednak nie spotkał się z czymś takim. Wiedział, co powinien zrobić, lecz nie miał na to ochoty. Na razie zamierzał grać wedle jej reguł i udawać zakładnika. Dzięki temu miał przynajmniej pewność, że kobieta nie spróbuje tego samego zagrania wobec innej osoby. Do diabła, mogłaby znaleźć się po niewłaściwej stronie lufy, zwłaszcza w tej wiejskiej okolicy, gdzie większość właścicieli sklepów trzyma pod ladą załadowaną broń.

W odpowiedniej chwili da jej znać, że gra dobiegła końca. Na razie był zaintrygowany i chciał poznać jej motyw. Miał nadzieję, że przed kolacją dotrze do letniskowego domu, uznał jednak, że jego wakacje mogą jeszcze godzinę czy dwie poczekać.

Ukrywając rewolwer pod T-shirtem, kobieta stanęła za Coltonem i dała mu znać, że ma iść przodem.

- Jak pan się odwróci, będę zmuszona użyć broni. Zrozumiał pan?

Wykrzywił wargi, ale z powagą skinął głową.

- Tak, proszę pani.

Kiedy zbliżali się do wyjścia, drzwi toalety się otworzyły i Colton usłyszał umęczoną matkę i jej syna, który wciąż jęczał.

- Jak coś zostawiłeś w autobusie, na pewno się znajdzie - matka pocieszała chłopca.

Colton poczuł, że kobieta pchnęła go naprzód, przykładając mu do pleców lufę.

- Szybko - odezwała się cicho.

Wyszedł na spieczony słońcem parking. Zanim drzwi się za nimi zamknęły, usłyszał odpowiedź dziecka:

- Zostawiłem na siedzeniu rewolwer. A jak ktoś mi go zabierze?

Z trudem powściągnął prychnięcie. Zastanawiał się, jak kobieta by zareagowała, gdyby wyszarpnął jej tę bezużyteczną broń spod T-shirtu.

Obrzuciła go wrogim spojrzeniem. Wyraźnie usiłowała się zorientować, czy słyszał słowa chłopca, a jeśli tak, czy je skojarzył z posiadaną przez nią bronią.

Colton zachował obojętną minę i szedł zakurczonym placem parkingowym. Kobieta się zawahała, a on się obejrzał. W tym momencie nabrał pewności, że zabrała dziecku zabawkę. Poczucie winy i konsternacja na jej twarzy kazały mu się zastanowić, czy przypadkiem nie zawróci do baru, by oddać chłopcu jego własność.

Gdy już sądził, że tak właśnie postąpi, kobieta przybrała maskę determinacji.

- Który jest pana? - Popatrzyła na samochody.

- Tamten. - Colton wskazał czarną furgonetkę.

Brezentowa płachta chroniła zapasy i sprzęt, który wiozł na wakacje.

- Okej, pan prowadzi. - Gdy otwierał samochód, stanęła z boku. - Chwileczkę!

Odwrócił się do niej, patrząc z oczekiwaniem. Kobieta ściągnęła brwi.

- To nie w porządku - mruknęła.

- Owszem - przyznał. - To nie jest w porządku. Nie wiem, na czym polega pani problem, ale na pewno nie jest wart kłopotów, w jakie się pani pakuje, biorąc mnie jako zakładnika.

Lekceważąco machnęła ręką.

- Nie o to chodzi. - Pokazała na otwarte drzwi. - Ma pan wsiąść na siedzenie pasażera i przesunąć się za kierownicę. Potem ja wsiądę. W ten sposób będę miała pewność, że nic pan nie kombinuje.

- Aha. - Zamknął drzwi od strony kierowcy. - Widzę, że naoglądała się pani kryminalów w telewizji. -

Przeszedł do drzwi od strony pasażera, czując na sobie jej spojrzenie. Otworzył drzwi i wsiadł. W samochodzie było parno, więc uruchomił silnik i włączył klimatyzację.

Zdusił uśmiech, gdy kobieta wyjęła zza pasa rewolwer i niezręcznie nim celowała, sadowiąc się w fotelu.

- Okej. - Zamknęła drzwi. - Ruszajmy.

Z trudem zdjęła plecak i rzuciła go na podłogę. Nie spuszczając wzroku z Coltona, przycisnęła się do drzwi. Wciąż w niego celowała.

Colton uniósł brwi.

- Zechce mnie pani łaskawie poinformować, dokąd jedziemy? Spodziewam się, że niedługo będziemy mieli towarzystwo, więc pewnie się pani spieszy.

Maddie Howe odwróciła wzrok od wysokiego mężczyzny, który siedział obok, i spojrzała na międzystanową numer 80, która ciągnęła się po horyzont, aż w końcu znikła za górami. Nad wąską wstążką asfaltu drgało rozgrzane powietrze, doliny po obu stronach były wypalone upalnym lipcowym słońcem.

- Niech pan po prostu jedzie w kierunku Reno, dopóki nie dam panu dalszych wskazówek - odparła, wracając do niego spojrzeniem.

Ku jej rozczarowaniu mężczyzna nie ruszał, choć jedną rękę położył na dźwigni zmiany biegów. Przyglądał się jej jakby ze współczuciem.

- Na pewno pani tego chce? - spytał z powagą.

Nerwowo przełknęła ślinę. A gdyby odmówił? Nie mógł jej tego zrobić! Tak daleko już się posunęła, nieodwołalnie odmieniła swoje życie, może nawet je zmarnowała. Dla niej nie było już powrotu. Musi trzymać się obranego kursu, nawet jeżeli to oznacza, że go porzuci i znajdzie innego kierowcę.

- Na pewno - rzekła w końcu. W ustach jej zaschło. Zaciśnęła palce na rewolwerze i odrobinę go uniosła. - Proszę, niech pan rusza.

Jego mina wyrażała rozczarowanie, mimo to wkrótce znaleźli się na międzystanowej, jadąc na zachód. Maddie jeszcze raz spojrzała na bar, sama nie wiedząc, co spodziewała się zobaczyć. Nikt tam przecież nie miał pojęcia, że właśnie popełniła przestępstwo. Cała ta sprawa poszła zbyt gładko. Wreszcie Maddie odetchnęła.

Mężczyzna milczał. Nie wiedziała, czy powinna mu być za to wdzięczna. Zerknęła na niego spod daszka czapki. Był wysoki i dobrze zbudowany. W barze śmiertelnie ją przestraszył. W pierwszej chwili widziała tylko jego atletyczną sylwetkę i ciemne oczy, które przeszywały ją na wylot.

Potem się odezwał, a jego głos był jak koło ratunkowe w świecie, który nagle wymknął się spod kontroli. Ten człowiek mógłby przekonać samobójcę, by zszedł z barierki mostu. W jego głosie było coś, co uspokajało i budziło zaufanie. Był cichy, niski, nieco schrypnięty, aż chciało się go słuchać. Gdy mężczyzna mówił, odnosiła wrażenie, że naprawdę się o nią troszczy. Zapewne mylne wrażenie, bo przecież jej nie znał. Nie wspominając o tym, że go porwała, grożąc mu bronią.

Zauważyła też, że nie nosił obrączki. Dotąd nie miała okazji mu się przyjrzeć, za to teraz wodziła po nim wzrokiem, zatrzymując się dłużej na profilu.

Miał skórę w ciepłym kolorze miedzi, wyraziste czarne brwi, orli nos nad szerokimi wargami i mocną szczękę. Czarne włosy były krótko ostrzyżone. Założyłaby się, że ma u kobiet powodzenie. Zgadywała, że z pochodzenia jest przynajmniej częściowo Indianinem. Czarny T-shirt i niebieskie dżinsy podkreślały muskularną sylwetkę.

Mężczyzna, jakby świadomy jej oględzin, zerknął na nią z ukosa. Maddie zrobiło się gorąco. A gdyby próbował ją obezwładnić? Pokonałby ją bez walki. Chyba straciła rozum, angażując tego człowieka w swoje sprawy. Od chwili, gdy wczoraj rano otrzymała list z pogrózkami, a zaraz po nim telefon w tym samym tonie, nie była w stanie myśleć. Była w szoku, działała pod wpływem paniki.

Jej młodszy brat Jamie wpadł w poważne tarapaty. Przegrał ogromne pieniądze w pokera w Reno. Pieniądze, które do niego nie należały, które chcieli od niego odzyskać wierzyciele. Więcej pieniędzy niż miała Maddie, licząc jej oszczędności, sumę, jaką dostała za samochód sprzedany poniżej wartości i spieniężone obligacje.

Nie było dość czasu, by starać się o pożyczkę w banku czy zapożyczyć się pod hipotekę. Ludzie, którzy przetrzymywali brata, powiedzieli, że zrobią mu krzywdę, jeśli w ciągu kolejnych siedemdziesięciu dwóch godzin nie otrzymają pieniędzy. Ostrzegli ją, że jeśli zawiadomi policję, od razu z nim skończą.

Maddie im uwierzyła.

Czemu miałyby nie wierzyć? Widziała, co się działo z ojcem. Z doświadczenia знаła mroczną stronę hazardu, miała pojęcie, co naprawdę dzieje się w pokojach na tyłach kasyna. Ale brat miał ledwie dwadzieścia lat, dopiero kończył college. Był za młody, by pamiętać, co się stało z ojcem. Maddie jednak wciąż miała to przed oczami.

Nie dopuści do tego, by podobny los spotkał Jamiego, choć jakaś jej część chciała go zabić własnymi rękami. Ileż to razy wbijała mu do głowy, jakie niebezpieczeństwa pociąga za sobą hazard? Kazała mu obiecać, że nigdy, w żadnych okolicznościach, nie pójdzie do kasyna, a już na pewno nie z cudzymi pieniędzmi. Rozumiała jednak, że możliwość szybkiego i łatwego zdobycia dużej forsy jest atrakcyjna. Niestety Jamiego opuściło szczęście i jeśli ona szybko nie zadziała, jego życie może być zagrożone.

W pośpiechu spakowała do plecaka całą posiadaną przez siebie gotówkę i wsiadła do pierwszego autobusu do Reno. W biurze, gdzie pracowała jako starszy księgowy, zostawiła wiadomość na sekretarce, informując szefa, że ma bardzo pilną rodzinną sprawę i jest zmuszona wziąć parę dni wolnego. Po przyjeździe do Reno miała zadzwonić na podany jej numer.

Przez pierwsze dwieście pięćdziesiąt kilometrów podróży jakoś znosiła głośnego chłopca, który na siedzeniu przed nią bawił się rewolwerem. Ale po prawie trzech godzinach z malcem, który bez końca do niej strzelał, była u kresu wytrzymałości.

Gdy zaparkowali w Lovelock, na siedzeniu dojrzała zabawkę chłopca i ukradkiem po nią sięgnęła. Obiecała sobie, że gdy dotrą do Reno, uda, że znalazła zabawkę i odda ją właścicielowi. Dzięki temu spędzi resztę podróży w spokoju.

Gdy jednak w szufladzie kasy w barze dojrzała pieniądze, coś wpadło jej do głowy. Coś złego, desperackiego. Była do bólu świadoma wciskającej się w jej brzuch zabawki. Na szczęście nie dowie się, czy starczyłoby jej odwagi, by obrabować bar. To, co zrobiła, było wystarczająco złe. Ledwie mogła uwierzyć, że wzięła zakładnika, i że on dał się oszukać.

- Ma pani jakieś imię? - spytał nieznajomy z lekkim uśmiechem. - Czy mam się do pani zwracać Bonnie?

Zamrugła. Jak on może zachowywać się tak beztrosko? Przecież widział, że w niego celowała. Podczas jazdy zastanawiała się, gdzie ma wysiąść. Droga do Reno potrwa parę godzin. Jeśli będzie milcząca lub opryskliwa, podróż będzie jeszcze mniej przyjemna. Zresztą jakie to ma znaczenie, czy mężczyzna pozna jej imię? Gdy tylko znajdzie brata i wróci z nim do domu, zgłosi się na policję. Wtedy wszyscy poznają jej tożsamość.

- Madeleine - odrzekła krótko, nie dodając, że zwykle ludzie nazywają ją Maddie.

- Colton Black - przedstawił się. - Naprawdę bardzo mi przykro, że spotkaliśmy się w takich okolicznościach.

Ku przerażeniu Maddie wyciągnął do niej rękę. Miał dużą opaloną dłoń o szczupłych palcach i zadbanych paznokciach. Maddie podniosła wzrok, ich oczy się spotkały. Z jego twarzy niczego nie mogła wyczytać.

Czy naprawdę wierzył, że jest taka głupia? Wiedziała, co by się stało, gdyby ujęła jego dłoń. Pociągnąłby ją i z jej zdrętwiałych palców wyrwał żalostną namiastkę rewolweru.

Ale on tylko się uśmiechnął i cofnął rękę.

- Okej - mruknął. - Jeszcze nie jest pani gotowa być miłą i towarzyską. Rozumiem. Ale jesteśmy na siebie skazani. - Uśmiechnął się cierpko. - Przynajmniej jedziemy we właściwym kierunku.

- Słucham? - Zamrugła.

Zerknął na nią krótko.

- Wybieram się do Paradise Valley na dwa tygodnie wędkowania. Podrzucę panią, dokądkolwiek pani chce, i może uda mi się dotrzeć na miejsce przed nocą.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Nie pozwolę panu nigdzie jechać.

Colton patrzył przed siebie.

- Czemu? Ręczę, że nie chciałaby pani tych wszystkich kłopotów, w jakie mógłbym panią wpakować.

Czy to groźba, czy tylko uwaga dotycząca ryzyka związanego z braniem zakładników?

- Niech pan posłucha, naprawdę nie chcę kłopotów. Ja... muszę tylko coś zrobić, okej? Jak już to zrobię, będzie pan wolny.

- Tak? - Uniósł kącik warg w uśmiechu. - Co jest tak ważne, że ryzykuje pani życie? Czemu chciała pani napaść na bar? Chodzi o narkotyki? - Omiótł ją spojrzeniem. - Czy musi pani spłacić bukmachera?

Na te słowa zbladła, ale Colton wrócił spojrzeniem do autostrady i nie widział jej ataku paniki. Wyrzała przez okno. Gdy tylko wspomniał o domu w Paradise Valley, wiedziała, co ma zrobić. Jej dziadek miał na tych wzgórzach dom. Któregoś razu oznajmił, że ukrył tam majątek. Nie miała pojęcia, czy było w tym ziarno prawdy, ale musi to sprawdzić. Najpierw powinna pozbyć się tego mężczyzny, by zająć się swoją misją. Jeśli każe mu wysiąść na głównej drodze, będzie miał większą szansę na to, że ktoś inny go zabierze. Sumienie nie pozwoliłoby jej zostawić go na pogórzcu, gdzie dzień wędrówki bez zapasu wody w tej temperaturze może oznaczać śmierć.

- Niech pan się zatrzyma - odezwała się głosem, w którym sama słyszała napięcie.

- Co? - Zaśmiał się z niedowierzaniem. Machnęła rewolwerem.

- Słyszał pan. Niech pan stanie.

Kiedy zjeżdżał na pobocze w chmurze kurzu, zacisnęła wargi. Zatrzymał się, ale nie wyłączył silnika.

- Co teraz? - Spojrzał na nią ze spokojem. - Każe mi pani wysiąść i iść przez pustynię? Tak się nie stanie, moja droga. Poza tym powiedziała pani, że nie może mnie pani wypuścić.

Zmarszczyła czoło.

- Ja... zmieniłam zdanie. Nie potrzebuję pana, tylko samochodu. - Uniosła rewolwer, zła, że ręce jej drżą. - Niech pan wysiada. Nie musi pan iść przez pustynię, tylko wysiąść. W końcu złapie pan jakiś samochód.

Z osłupieniem zobaczyła, że mężczyzna się zaśmiał.

- Nie ma takiej możliwości.

Patrzyła na niego z przerażeniem.

- Zwariował pan? - Pogroziła mu bronią. - Mogę pana zastrzelić.

Szeroko rozłożył ręce.

- Bardzo proszę, miła pani, do dzieła, bo tylko martwy opuszczę moje auto.

- Nie mówi pan poważnie.

- Poważnie jak diabli. - Uderzył ręką w deskę rozdzielczą. - To nowiutki wóz. Cholernie ciężko na niego pracowałem. Za nic go nie porzucę. Jak pani chce mi go zabrać, musi mnie pani zastrzelić.

To nie dzieje się naprawdę. Maddie przetarła oczy, próbując ukryć panikę. Nie może angażować tego mężczyzny w swoje sprawy. Po raz kolejny zerknęła na pustynię, która ciągnęła się do pogórza Sierra Nevada. Nawet gdyby zdecydowała się wysiąść z samochodu, nie pokona na piechotę spieczoną słońcem równinę.

Wróciła spojrzeniem do siedzącego obok mężczyzny. On też patrzył przez okno, postukując palcami po udzie w rytm jakiejś melodii, którą nucił chyba w duchu, jakby nie miał żadnych zmartwień. Jakby nie była w stanie go zastrzelić.

Co akurat było prawdą. Mężczyzna mógł nie wiedzieć, że nie ma prawdziwej broni, a mimo to intuicyjnie wyczuwał, że Maddie brak tego czegoś, co jest konieczne do popełnienia zbrodni z zimną krwią.

Westchnęła sfrustrowana, nie protestując, gdy samochód ruszył.

- W porządku. - Udawała, że wciąż panuje nad sytuacją. - Nie zostawił mi pan wyboru, muszę pana z sobą zabrać.

- Bez żartów. Dokąd to? - zapytał z uśmiechem.

- Niech pan skręci na najbliższym zjeździe do Spotted Canyon.

- Okej - mruknął. - To może się udać. Nadal jedziemy w kierunku Paradise Valley. Podrzucę panią tam, gdzie pani się wybiera, a potem pędzę do siebie.

Omal nie zakrztusiła się na wpół histerycznym śmiechem, ale szybko się opanowała. Ten człowiek myśli tylko o tym, by dotrzeć do swojego domu. Patrzyła przez przednią szybę, ignorując go.

- Więc - podjął lekko - w jaki sposób taka miła dziewczyna znalazła się w tej sytuacji?

Rzuciła mu ostrzegawcze spojrzenie.

- Niech pan zjedzie w prawo.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Jest pani pewna?

To była gruntowa droga, z obu stron otoczona skałami i krzakami. Maddie wiedziała, że powoli wije się w stronę pogórza. Minęło wiele lat, odkąd ostatnio nią jechała, ale nie miała cienia wątpliwości.

- Tak, jestem pewna. A teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, moglibyśmy więcej nie rozmawiać?

- Jasne.

Odetchnęła. Kiedy wsiadła do autobusu w Elko, chciała jechać do Reno i tam zastanowić się, jak uwolnić brata. Potem popełniła głupi błąd i wzięła zakładnika. Nie może wejść do kasyna z tym człowiekiem na muszce. Była bliska rozpaczki. Dopiero gdy mężczyzna wspomniał o domu w Paradise Valley, wiedziała, co zrobić.

ROZDZIAŁ DRUGI

Zerknął na kobietę. Oparła się o drzwi, powieki jej opadały. Trzymała rewolwer na kolanach. Jechali niemal cztery godziny po wyboistych drogach, które biegły przez pogórze Sierra Nevada i powoli pięły się na bardziej zalesione tereny. Kilka razy kobieta kazała mu skręcić, ale poza tym milczała.

- Wkrótce będzie ciemno - zauważył. - Nie wiem, jak pani, ale ja czuję zew natury. Pozwoli pani, że się zatrzymamy?

- Nie wytrzyma pan?

- Nie.

Odwróciła głowę i zmierzyła go wzrokiem.

- Okej, ale niech się pan pospieszy. Już prawie jesteśmy na miejscu.

- Czyli gdzie? Wygląda na to, że jesteśmy na odludziu.

- Świetnie wiem, gdzie jesteśmy - odparła cierpko. - Tu może pan stanąć.

Zatrzymał samochód i już chciał wysiąść, gdy kobieta położyła mu rękę na ramieniu. Zamarł, spojrzał na jej szczupłe palce, a później na nią, pytająco unosząc brwi.

Zaczerwieniła się, po czym zabrała rękę, jakby się oparzyła.

- Wezmę kluczyki.

Spuścił wzrok na kluczyki, które trzymał w ręce, wzruszył ramionami i upuścił je na jej kolana.

- Dobra. Ale gdyby pani przyszło do głowy, żeby mnie zostawić, radziłbym to przemyśleć. Kończy się paliwo.

Nerwowo wciągnęła powietrze.

- Czemu pan wcześniej nie powiedział?

- Po co? Za zakrętem nie ma stacji benzynowej.

- Na ile starczy nam paliwa?

- Piętnaście mil. Może. Bak jest prawie pusty. - Nie dodał, że ma zapasowy zbiornik, który starczy jeszcze na pięćdziesiąt mil. Mimo to zdawało się, że odetchnęła.

- To więcej niż dość. Mamy przed sobą jakieś pięć mil, wiem, gdzie jest stacja po drugiej stronie tej góry. Przynajmniej - poprawiła się - kiedyś była.

Colton wysiadł z samochodu i już miał zanurzyć się w pobliskim lesie, kiedy jej głos znów go zatrzymał.

- Dalej pan nie idzie.

Zerknął na nią przez ramię. Celowała w niego.

- A co, chce pani popatrzeć? - spytał drwiąco.

- Oczywiście, że nie. Chcę mieć pana na oku. Nie będę patrzeć.

- To może stanę przed maską tyłem do pani?

Skinęła głową, a on ustawił się przed samochodem. Dyskretnie załatwił swą potrzebę, świadomy bursztynowych oczu, które go obserwowały przez szybę. Gdy siadał znów za kierownicą, kobieta opuściła rękę z rewolwerem i wskazała na schowek.

- Pewnie nie ma pan nic do jedzenia? Jakiś batonik?

W głowie Coltona odezwał się ostrzegawczy dzwonek. Przypomnił sobie, co schował do schowka na rękawiczki: służbowy rewolwer i walkie-talkie. Nie mógł dopuścić do tego, by kobieta je znalazła, bo wtedy gra dobiegłaby końca. Nie wątpił, że by ją pokonał, gdyby tylko położyła rękę na jego broni, ale nie ufał też jej umiejętności posługiwania się bronią palną. Absolutnym przypadkiem mogłaby go zastrzelić.

- Nie ma tam nic prócz śmieci - zapewnił szybko. - Ale z tyłu mam wodę i coś do jedzenia. Jeżeli pani pozwoli, z przyjemnością przyniosę.

Odsunęła rękę od schowka i uśmiechnęła się krótko.

- Dziękuję.

Spod brezentowej przykrywy wyjął dwie butelki wody i obwarzanki. Rzucił obwarzanki na kolana Maddie i wyciągnął rękę po kluczyki. Kobieta otworzyła butelkę i piła łąpczywie, dopiero potem zauważyła jego rękę.

- Przepraszam - mruknęła. - Byłam bardziej spragniona, niż mi się zdawało.

Oddała mu kluczyki i po chwili znów jechali. Maddie opróżniła butelkę wody i zabrała się za obwarzanek.

- Kiedy ostatnio pani jadła? - spytał.

- Nie pamiętam. Chyba wczoraj.

- Chyba?

- To były dwa szalone dni. Jedzenie nie jest najważniejsze - odparła defensywnym tonem. - Och, niech pan tu skręci.

Wskazała na drogę, która była w zasadzie zarośniętą ścieżką. Gdyby mu jej nie pokazała, pewnie by nie zauważył. Gałęzie ocierały się o boki samochodu, a on krzywił się w duchu, zastanawiając się, jak wygląda karoseria. Z natury nie był pedantem, ale nie skłamał, mówiąc, że samochód jest nowy.

Nagle przed nimi pokazała się polana z ogromnym głazem i osiką. Nieco dalej stał niewielki dom z drewnianych bali. Frontem skierowany był na zachód, gdzie za polaną sosny nagle znikwały na skraju stromego urwiska. W oddali rozciągała się zapierająca dech w piersiach panorama gór. Słońce opadło nad linię horyzontu, blask kolorów, które rozlały się na niebie nad szczytami, wprowadził Coltona w podziw. Zatrzymał samochód obok domu.

- Wezmę kluczyki - powiedziała Madeleine.

- Jezu! - Podał jej kluczyki. - Jak tu pięknie.

Kobieta wysiadła, schowała kluczyki do kieszeni dżinsów i wsunęła „broń” za pasek spodni. Wbiegła na ganek po dwa stopnie naraz.

Colton tymczasem przyglądał się domowi. Był od dawna niezamieszkanym, o czym świadczyła choćby gruba warstwa liści i sosnowych igieł na ganku i na dachu, a także mech, który porastał drewniane ściany.

Powoli wysiadł z samochodu i poszedł za Madeleine. Klęczała przed frontowymi drzwiami, odsuwając ręką liście i inne śmieci. Szukała czegoś pod starą wycieraczką. Kluczy, jak podejrzewał Colton. Kiedy nic nie znalazła, podniosła się i szarpnęła za klamkę, co też nie przyniosło rezultatu, więc ostatecznie zaczęła uderzać w drzwi całym ciałem, postępując z wysiłku.

Pomyślał, że jeżeli kobieta się nie powstrzyma, zrobi sobie krzywkę. Nie wiedział, do kogo należy dom ani dlaczego tak bardzo chciała się do niego dostać, ale podejrzewał, że był dla niej czymś więcej niż kryjówką.

- Pani pozwoli - rzekł i odsunął ją na bok.

Przyjrzał się drzwiom, potem się cofnął, uniósł nogę i z całej siły kopnął tuż obok klamki. Drzwi gwałtownie wpadły do środka.

Madeleine obserwowała to z podziwem.

- To było... coś. Dzięki.

- Nie ma sprawy - odparł. - Niech mi pani mówi Clyde. Jeśli się nie mylę, stałem się współwinny.

- Bzdura. W razie czego powiem, że kazałam je panu wyważyć.

Nie czekając na odpowiedź, weszła do domu. Colton ruszył jej śladem, odsuwając pajęczyny.

- Więc do listy pani przestępstw możemy teraz dodać włamanie - stwierdził, gdy zdjęła z haka zakurzoną lampę naftową.

Postawiła ją na stole i poprawiła knot. Potem go zapaliła długą zapalką z metalowego pudełka, które leżało obok. Z wolna jasny płomień przegonił cienie, które ich otaczały, rozświetlając jej twarz złotym blaskiem.

- Nie można oskarżyć o włamanie właściciela domu - rzekła w końcu, podnosząc wzrok.

- To pani dom? - Nie krył zdumienia.

- Tak. W każdym razie od śmierci dziadka. - Podała mu lampę, a on ruszył za nią do kuchni. Była mała i ciemna, z sosnowymi szafkami i starym piecem w kącie.

Madeleine otworzyła szufladę i szukała czegoś pośród sztuców. Kiedy wyjęła spory nóż, uniósł brwi. Ku jego zdziwieniu uklękła obok pieca, przetarła ręką zakurzoną podłogę i zaczęła obmacywać deski. Potem wsunęła nóż między dwie deski i jedną z nich próbowała podważyć. Kiedy deska się nie poddała, przekłęta i rzuciła nóż w kąt.

Z trudem podniosła się na nogi i znów zaczęła przeszukiwać szufladę. Colton wymknął się z kuchni. Nie spuszczać oka z wejścia do domu, z tyłu pickupa wyjął łom. Chętnie sięgnąłby po policyjne radio i skontaktował się ze swoim szefem. Nie chciał jednak ryzykować, że kobieta go na tym przyłapie.

Gdy wrócił do kuchni, znów klęczała, tym razem zmagając się z deskami przy pomocy czegoś w rodzaju szpikulca. Ten okazał się równie skuteczny jak nóż.

- Pani pozwoli, ja spróbuję. - Przykucnął obok.

W samochodzie zdjęła czapkę z daszkiem. Część kosmyków uwolniła się z końskiego ogona i zwisła wokół zaczerwienionych policzków. Jej twarz, skonsternowana i przerażona jednocześnie, wyglądała niemal komicznie. Gdy spojrzała na łom, w jej oczach pojawił się lęk, a potem ulga. Colton wiedział, co pomyślała. Miała świadomość, że jest od niej silniejszy.

Wsunął końcówkę łomu między deski i jedną z nich podważył. Potem odłożył łom i rękami uniósł deski. Jego oczom ukazał się schowek pod podłogą.

Z okrzykiem radości Madeleine wyciągnęła ze schowka coś, co przypominało puszkę na herbatniki.

Była pokryta kurzem i zardzewiała. Madeleine otworzyła puszkę i wysypała jej zawartość na podłogę. Wśród rozmaitych przedmiotów znajdował się tam gruby zwitek banknotów. Chwyciła go i szybkim krokiem podeszła do stołu, by go rozwinąć i przeliczyć.

Colton przejrzał pozostałe przedmioty. Było tam kilka fotografii, niektóre pożółkłe i popękane ze starości, inne nowsze. Jedną z nich podsunął pod światło lampy. Trzynasto- albo czternastoletnia dziewczynka siedziała na stopniach ganku i obejmowała chudego chłopca o jasnych włosach. Colton zerknął na Madeleine. To ona, jakieś piętnaście lat wcześniej. Na podstawie podobieństwa między dziećmi zgadywał, że chłopiec to jej brat.

Znalazł tam także zdjęcie starszej Madeleine i starego wątłego mężczyzny, zrobione ze dwa lata temu. Madeleine miała na sobie prostą letnią sukienkę. Uwagę Coltona przyciągnęły jej długie nogi. Ukradkiem schował zdjęcia do kieszeni.

Potem przejrzał pozostałe rzeczy: kluczyk na łańcuszku, kilka monet, garść kości do gry, stare bilety loteryjne i coś, co wyglądało na notarialny akt własności. Colton wziął do ręki klucz i obrócił go w ręce, po czym schował go do kieszeni razem ze zdjęciami.

Gdy Madeleine zaczęła się śmiać, Colton podniósł wzrok. Na stole przed nią leżały pieniądze, głównie banknoty małych nominałów. Śmiech Madeleine stał się nieco histeryczny. Gdy pomyślał, że powinien interweniować, ukryła twarz w dłoniach i śmiech zamienił się w przejmujący szloch.

Domyślił się, że pod deskami Madeleine nie znalazła tyle pieniędzy, na ile miała nadzieję, i znów się zastanowił, na czym polega jej problem. Z początku podejrzewał, że chodzi o narkotyki, choć musiał przyznać, że nie wyglądała na narkomankę. Prawdę mówiąc, sprawiała wrażenie okazu zdrowia. Nawet w luźnym T-shircie i bez makijażu była więcej niż atrakcyjna. Miała jedwabiste gęste włosy w kolorze starego złota. Przez ulotny moment zastanowił się, jakie są w dotyku. Gdyby się uśmiechnęła, mogłaby okazać się zniewalająca.

Wyprostował się i przez chwilę stał niepewny, co dalej. Rozdzierający szloch przycichł, ale kobieta wciąż popłakiwała, chowając twarz w dłoniach. Z histerycznym płaczem by sobie poradził, wobec cichego popłakiwania był bezradny.

Postąpił krok w jej stronę, a potem się cofnął, wsuwając palce we włosy. Znów spojrzął na jej pochyloną głowę i drżące ramiona. Chciał ją objąć i pocieszyć, ale choć obudziła w nim instynkt opiekuńczy, starał się nie ulec emocjom. Przeklinając pod nosem, zakręcił się na pięcie i wyszedł z domu.

Jaka była głupia, licząc na to, że w domu dziadka znajdzie rozwiązanie kłopotów brata! Gdy dziadek osłabł na tyle, że nie mógł już sam mieszkać, Maddie podjęła trudną decyzję i przeniosła go do domu opieki w Elko, gdzie mogła go odwiedzać. Pod koniec cierpiał na ostrą demencję, nalegał, że musi wrócić do domu. Twierdził, że ukrył tam fortunę.

Maddie wiedziała o puszcze pod podłogą. Dziadek przez lata chował w niej pieniądze, ale nigdy nie było tego wiele. Choć rozsądek mówił jej, że w puszcze nie znajdzie nic wartościowego, słowa dziadka wciąż po-

brzmiewały w jej głowie. Podczas jazdy przez pogórze zaczęła sobie wyobrażać, że dziadkowi udało się odłżyć znaczną gotówkę. Była głupia.

Wciągnęła powietrze i otarła policzki. Pieniądze leżały na stole w nieskładnych kupkach. W pierwszej chwili na widok zwitka banknotów serce mocniej jej zabiło. Gdy zdała sobie sprawę, że jest tam ledwie pięćset dolarów, nadzieja zamieniła się w rozpacz. Łącznie z tym, co posiadała, było tego za mało na spłatę długu. Zerknęła na dziurę w podłodze i rozrzucone przedmioty. Dopiero kiedy jej wzrok padł na łom, coś sobie przypomniała.

Colton. Kiedy ona wypląkiwała oczy, on się wymknął. Pewnie ma zapasowe kluczyki. Z walącym sercem wybiegła z kuchni. W pogłębiających się cieniach wczesnego popołudnia o mały włos nie wpadła na swego towarzysza, który właśnie wracał do domu z kartonowym pudłem.

- Robi się ciemno. Dzisiaj dalej już nie pojedziemy. Mam w bagażniku zapasy jedzenia na dwa tygodnie.

Wciąż na siebie zła, podążyła za nim do kuchni i patrzyła, jak postawił na stole pudło z zapasami, odsunawszy na bok pieniądze.

- Co pani powie na kanapki? Mam szynkę i pieczeń. - Zerknął na nią przez ramię, wyjmując chleb.

Zawahała się. Nie zamierzała spędzać tu nocy. Nie może tracić czasu. Jej bujna wyobraźnia tworzyła drastyczne obrazy tego, co wierzyciele brata mogą z nim zrobić. Jamie jest jeszcze taki młody. Udawał pewność siebie, ale Maddie wiedziała, że to tylko gra. Na pewno był śmiertelnie przerażony. Potrzebowała pięćdziesięciu tysięcy dolarów w gotówce, a w tym domu ich nie znalazła. Jamie był teraz jej jedyną rodziną. W zasadzie to ona go wychowywała i go teraz nie opuści.

Ale widok jedzenia przypomniał jej, jak długo nie jadła porządnego posiłku. Godzina zwłoki nie zrobi różnicy. Powinna coś zjeść, by mieć siły pomóc bratu.

- Dobrze - rzekła - ale nie będziemy tu nocować. Jak tylko zjemy, ruszymy na drugą stronę góry. Z pewnością jest tam jeszcze stara stacja benzynowa.

Dojrzała nerwowy tik Coltona, choć nie skomentował jej słów. W milczeniu szykował kanapki, a ona uruchomiła pompę i wytarła blaty. Usiedli przy małym stole i posilali się w świetle lampy. Maddie miała wrażenie, że nigdy nie jadła nic tak smacznego jak te kanapki z szynką. Rewolwer boleśnie wbijał się w jej brzuch. Miała chęć położyć go na stole, ale nie chciała ryzykować, że Colton go jej odbierze. Nie chciała też zepsuć niepokojąco dobrej atmosfery.

Colton wypił resztki wody z butelki, którą wyjął z turystycznej chłodziarki. Maddie patrzyła na niego zafascynowana. Kiedy odstawił butelkę, splótł palce na płaskim brzuchu i uniósł brwi. Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. Od początku tego koszmaru nie czuła się tak niepewnie jak w tej chwili.

- Powinniśmy ruszać. W szopie jest kanister z benzyną. Może wystarczy, żebyśmy zjechali na dół.

Mężczyzna przypatrywał się jej z miną, która wyrażała jednocześnie współczucie i rezygnację.

- Oboje mamy za sobą ciężki dzień - zauważył. - Jest późno i nie wiemy, czy ta stacja w ogóle istnieje. Nie mam pojęcia, w jakie tarapaty pani się wpakowała, ale to jasne, że potrzebuje pani pomocy. - Uniósł rękę, by ją uciszyć. - Najlepiej, jak pani się porządnie wyśpi. Rano zawiozę panią do Winnemucca, gdzie będzie pani mogła zgłosić się na policję.

- Co? - Nie kryła przerażenia.

Colton uniósł obie ręce w błagalnym geście.

- Madeleine, nie ma pani jedzenia, samochodu i pewnie pieniędzy. Biorąc mnie jako zakładnika, popełniła pani przestępstwo. Może pani na długie lata wylądować za kratkami. Uciekając, tylko pogorszy pani sytuację.

Znowu to robił, mówił w ten hipnotyczny sposób. Kojąco i racjonalnie, lecz nie traktował jej z góry. Maddie zapagnęła wtulić się w jego szeroką pierś i powiedzieć mu wszystko, co chciałby usłyszeć.

Uniosła głowę i spotkała się z nim wzrokiem.

- Nie mogę iść na policję. - Była zła, bo głos jej drżał. - Pan tego nie zrozumie. - Zaśmiała się z niedowierzaniem. - Absolutnie nie wchodzi w grę, żebym zaangażowała w to policję.

Colton westchnął.

- Przykro mi, ale już pani zaangażowała. - Sięgnął do tylnej kieszeni dzinsów i wyjął z niej płaski portfel.

Gdy go otworzył, Maddie ze zgrozą patrzyła na srebrną gwiazdę w srebrnym okręgu z napisem United States Marshal. Po drugiej stronie znajdował się identyfikator ze zdjęciem Coltona.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Jest pan policjantem? - spytała szeptem.

- Gra skończona, Madeleine.

ROZDZIAŁ TRZECI

Tak szybko poderwała się na nogi, że przewróciła krzesło. Nerwowo sięgnęła po rewolwer i wycelowała nim w Coltona.

- Niech mnie pan nie dotyka! - Jej głos był pełen desperacji. Poczula się chora. Ku jej przerażeniu mężczyzna wstał i zrobił krok w jej stronę, nie przejmując się jej rewolwerem. - Mówię poważnie - rzekła, wymachując mu bronią przed nosem. - Ja... zastrzelę pana, jak zrobi pan jeszcze krok.

W jego uśmiechu widziała cień współczucia.

- Niech pani da spokój, Madeleine.

Cofnęła się i wpadła na róg szafki. Była bliska łez. To się nie dzieje naprawdę. Nie da się aresztować.

- Niech pań stanie. Przysięgam, że pana zabiję.

Szedł dalej, aż lufa wcisnęła się w środek jego ciała.

- Proszę strzelać - powiedział cicho.

Podniosła na niego wzrok. Jego oczy były niemal czarne, pełne empatii. Czula narastający w gardle szloch zrodzony z paniki i frustracji, a zaraz potem poczuła jego dłoń na swojej.

- Wiem, że to zabawka, Madeleine.

- Wie pan? Od kiedy?

- Od początku.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Cały czas pan wiedział? I jechał pan ze mną taki szmat drogi? Pozwalał mi pan myśleć... - Uniosła rękę do ust. - Jaka ze mnie idiotka.

Wciąż trzymał rękę na jej dłoni, a drugą ręką otoczył plecy. Przyciągnął ją do siebie, szepcząc słowa pociechy. Nie była świadoma, że płacze, dopóki nie pogłaskał jej karku i nie otulił swoim głosem.

- Proszę nie płakać. Wszystko będzie dobrze.

Przyciskała do niego policzek, a on ją obejmował.

Najchętniej już by tak została. Pachniał tak cudownie jak świeże pranie i powietrze w połączeniu z czymś pikantnym. Na jej zmysły najsilniej podziałało jednak to, że tak dobrze się przy nim czuła. Słyszała bicie jego serca. Był silny, stanowił mocne oparcie. Po raz pierwszy w życiu poczuła się bezpieczna. Jakby nareszcie mogła zrzucić dzwigane przez lata ciężary i po prostu odetchnąć.

- Wszystko będzie dobrze - powtarzał. - Nie wiem, jaki ma pani problem, ale go rozwiążemy. Zapewnię policję, że towarzyszyłem pani z własnej woli. Jestem pewien, że potraktują panią ulgowo.

Zamarła. W jednej chwili wszystkie dobre uczucia zniknęły, pozostawiając lodowate zimno. Wyzwoliła się z jego objęć i stanęła po drugiej stronie niewielkiej kuchni. Gwałtownie pocierała policzki.

- Więc co teraz? - spytała zjadliwie. - Mam jechać z panem na policję i dać się zapuszkować?

Zmarszczył czoło.

- Nie zapuszkują pani, jak się pani wyraziła. Najgorszy scenariusz jest taki, że dostanie pani wyrok w zawieszeniu i karę odbycia prac społecznych.

Zaśmiała się krótko, nieco histerycznie.

- Żartuje pan. - Przycisnęła palce do oczu. - To nie do wiary. To nieprawda.

- Madeleine - stanął naprzeciw niej - niech pani ze mną porozmawia. Być może będę w stanie pomóc.

Widziała go teraz przez łzy.

- Nie może mi pan pomóc. Nikt nie może mi pomóc.

- Na pewno pani nie pomogę, jeśli mi pani nie powie o kłopotach. Nie wyjaśni, czemu chciała pani okraść bar.

- Nie wiem! - krzyknęła. - W autobusie jechał chłopiec, bawił się tym rewolwerem, udawał, że mnie zabija. Miałam tego dość, więc kiedy zostawił zabawkę na siedzeniu, wzięłam ją. W Reno bym mu ją oddała.

- Zamiast tego postanowiła pani obrabować bar.

- Tak. Nie! - Jęknęła i na moment zamknęła oczy. - Nie wiem, co myślałam. Zobaczyłam w kasie pieniądze i miałam za paskiem tę broń... nie jestem nawet pewna, czy byłabym w stanie to zrobić.

- Więc potrzebuje pani pieniędzy. Po co?

Odwróciła się od niego. Nie potrafiła logicznie myśleć, kiedy był tak blisko. Musi się od niego uwolnić i uniknąć wizyty na komisariacie. Nawet gdyby policja zechciała jej pomóc, nie mogła podejmować takiego ryzyka. Ludzie, którzy przetrzymują jej brata, powiedzieli, że go zabiją, jeśli zawiadomi policję, a ona im wierzyła.

Musi odzyskać Jamiego, dopiero potem uda się na policję. Najpierw jednak musi się pozbyć tego nieszczęsnego policjanta, niezależnie od tego, jak dobre miał intencje.

- Okej - odezwała się w końcu i nabrała powietrza, odwracając się do niego. - Ma pan rację. Ja też chcę to skończyć. - Miała nadzieję, że jej mina wyraża dość żalu. Wyciągnęła do niego rękę. - Chce mnie pan przypiąć kajdankami do łóżka... no wie pan, żeby nie uciekła?

Szerzej otworzył oczy, a Maddie była pewna, że dojrzała w nich cień rozbawienia.

- Nie - odparł wreszcie. - To nie będzie konieczne. - Uśmiechnął się krzywo. - Mam lekki sen. Nie zdążyłaby pani dojść do drzwi. Ale na wszelki wypadek - wyciągnął rękę - poproszę o kluczyki.

Z westchnieniem wyłowiła je z kieszeni, a potem patrzyła, jak wpuścił je do kieszeni spodni. Objęła się ramionami. Oczy ją piekły, w żołądku czuła pustkę.

- Co teraz?

- Odpowie pani na moje pytania. Po co potrzebne pani pieniądze?

Jego twarz była nieczytelna, choć stanowcza. Gdyby postanowił się zaangażować, mógłby tylko zaszkodzić Jamiemu. Jeśli niekonwencjonalne wychowanie czegoś Maddie nauczyło, to tego, by zawsze trzymać się jak najbliżej prawdy. Jeśli zbyt dużo się kłamie, człowiek tak się w te kłamstwa zaplącze, że zaczyna się gubić i sam często nie wie, co jest faktem, a co fikcją.

- Mam niespłacony dług - odparła wreszcie. - Jeśli nie zwrócę pieniędzy, mogę wszystko stracić.

- Komu jest pani dłużna?

- Bankowi. Spóźniłam się ze spłatami.

- To wszystko?

- Tak. - Wzruszyła ramionami.

Zmrużył oczy, jakby rozważał jej słowa, a potem gwałtownie się odwrócił.

- W górach w nocy robi się zimno, nawet o tej porze roku. Może rozpalę w kominku, a pani się rozejrzy, gdzie można się przespać?

Uwierzył jej? Nie miała pojęcia. Wiedziała za to, że nie spędzi nocy w tym domu. Nie miała czasu do stracenia i z pewnością nie zamierzała dobrowolnie jechać z nim do Winnemucca. Musi jednak udawać, że się z nim zgadza.

- Nad salonem jest stryżek, gdzie w dzieciństwie nocowałam. Po drugiej stronie jest sypialnia dziadka.

- Świetnie, pójdę sprawdzić strych.

Maddie ruszyła za nim do saloniku, po drodze zapalał lampy naftowe. Kiedy światło rozproszyło cienie, poczuła, że ma ściśnięte gardło. To miejsce nie zmieniło się od czasu jej dzieciństwa. Wciąż stała tam dębowa kanapa z kraciastą tapicerką, na podłodze leżał szmaciany dywanik, a obok kamiennego kominka stał fotel, w którym dziadek lubił czytać. Kwieciste zasłonki, które uszyła jako nastolatka, wciąż wisiały w oknach.

Nie była jednak w stanie przywołać żadnych ciepłych wspomnień tego miejsca. Miała dziesięć lat, gdy matka zmarła na raka, i nie wyobrażała sobie, że w życiu może spotkać ją coś gorszego. Myliła się. Teraz, rozglądając się po domu, pamiętała jedynie przerażenie po nagłej śmierci ojca, gdy zrozumiała, że to będzie jej nowy dom, że zamieszka z dziadkiem, którego ledwie знаła. Z początku jego szorstkość budziła w niej strach, szybko jednak pojęła, że ten człowiek nie jest zdolny zaopiekować się sobą samym, nie wspominając o dwunastoletniej dziewczynce i trzyletnim chłopcu. Dziadek pił na umór, do nieprzytomności.

Nie chciała zostawiać Jamiego z nieprzytomnym dziadkiem, więc zabierała go z sobą, gdy schodziła z góry i kręciła się przed domem Zeke'ego. W tamtych czasach stary Zeke prowadził jedyną w tej okolicy stację benzynową i sklep. Maddie odkryła, że potrafi naciągnąć współczujących mieszkańców i turystów na kilka dolarów. Dość, by kupić coś do jedzenia dla siebie i brata.

Kiedy dorastała, dziadek kilka razy próbował wytrzeźwieć, i to te dni wolą zachować w pamięci. Gdy nie brakowało jedzenia i nie musiała zebrać, gdy w długie wieczory pod okiem i pod kierunkiem dziadka grała z Jamiem w blackjacka czy pokera. Ale okresy trzeźwości były krótkie i Maddie nauczyła się nie oczekiwać po dziadku zbyt wiele.

Tak zresztą wolą. Chciała być niezależna. Nawet od atrakcyjnego policjanta, który miał dobre intencje.

Colton właśnie przyglądał się wąskiej drabinie, która stała w kącie pokoju i służyła jako wejście do sypialni na stryżku. Sprawdził ją, nim z lampą w ręce zaczął się wspinać na górę. Maddie stała obok kanapy i patrzyła na plamę światła kołyszącą się na deskach sufitu. Głowa Coltona zniknęła.

- Żadne z nas nie powinno tu spać - zawołał do niej. - Wygląda na to, że myszy się tu rozpanoszyły.

- Zajrzę do sypialni. Może tam by się pan przespał, a ja położę się na kanapie.

Krzywo się uśmiechnął, a ona się zaczerwieniła. Okej, więc czytał w niej jak w książce, ale byłoby jej o wiele trudniej wymknąć się z domu, gdyby to on zajął kanapę. Zanim odpowiedział, otworzyła drzwi do sypialni dziadka.

W małym pokoju dominowało przykryte warstwą kurzu żelazne łóżko. Maddie ostrożnie uniosła kapę i rzuciła ją na krzesło w rogu. Poduszki i kolorowa kołdra były takie, jakie zachowała w pamięci. Pościel trochę pachniała wilgocią, ale była czysta.

Obok sypialni znajdowała się łazienka. Maddie skrzywiła się na widok pająka, który zamieszkał pod prysznicem. Odkręciła kurek w umywalce i czekała, aż z kranu poleci czysta woda, a w międzyczasie przyciskała do skroni palce, czując pulsujący ból. Otworzyła apteczkę nad umywalką z nadzieją, że znajdzie tam aspirynę. Były tylko brzytwa, krem do golenia, przeterminowane leki nasenne i szczoteczka do zębów.

Zamknęła apteczkę i widząc swoje odbicie w lustrze, z przerażeniem otworzyła usta.

Wygląda jak siedem nieszczęść. Koński ogon był w oplakany stanie, włosy wisiały wokół twarzy, od płaczu pokrytej czerwonymi plamami. Oczy miały czerwone obwódki, a pod nimi widniały cienie, które sprawiały, że wyglądała na zmęczoną i przegraną. Czy od chwili, gdy otrzymała telefon na temat brata, minął naprawdę tylko dzień? Czuła się, jakby to było wieki temu.

Na samą myśl o cierpieniach Jamiego w rękach szantażystów serce waliło jej ze strachu. Musi się uwolnić od Coltona i znaleźć sposób na zdobycie pieniędzy.

Przeczesała włosy palcami, próbując je uporządkować. Potem spięła je luźno z tyłu głowy, pochyliła się, nabrała w dłonie wodę i spryskała nią twarz.

Słyszała Coltona, który kręcił się po pokoju. Gdy wyjrzała z łazienki, siedł do kominka z naręczem drewna.

Położył drewno i przykucnął obok paleniska, by rozpalić ogień. Kiedy się pochylił, T-shirt odsłonił fragment skóry w kolorze miedzi. Przy każdym ruchu jego mięśnie pracowały.

Odwróciła się znów do lustra i powoli wytarła twarz. Potem ściągnęła T-shirt i przez otwarte drzwi rzuciła go w nogi łóżka. Pod spodem miała podkreślającą kształty bawełnianą koszulkę na ramiączkach. Wyciągnęła z koka kilka kosmyków, szczytnęła blade policzki i przygryzła wargi, by nabrały koloru. Wypróbowała pozę uwodzicielki.

Później głośno jęknęła i schowała twarz w dłoniach. Gdy ostatnio próbowała coś zyskać swoim wyglądem, była zdesperowaną nastolatką. Zastanawiała się, czy wciąż jest do tego zdolna. Jednak w dniu, gdy opuściła góry, zostawiła to wszystko za sobą. Trudne dzieciństwo i trudna rodzinna historia należą do przeszłości. Teraz była szanowana przez ludzi, z którymi pracowała, dzięki talentowi do przedmiotów ścisłych zyskała dobrą pracę. Co pomyśleliby o niej współpracownicy, gdyby ją teraz zobaczyli? Wzięła głęboki oddech i uniosła głowę, z powagą patrząc na swe odbicie w lustrze. Jamie na nią liczy, przed nim całe życie. Zrobi wszystko, by zapewnić mu bezpieczeństwo.

Otworzyła znów szafkę i drżącą ręką sięgnęła po buteleczkę z lekami nasennymi. Lekarz przepisał jej dziadkowi cztery lata temu, kiedy demony przeszłości w końcu go dopadły. Zazwyczaj szukał ratunku w alkoholu, ale zaawansowana choroba wątroby gwarantowała, że to rozwiązanie będzie wyrokiem śmierci.

Z poczuciem winy zerkając w stronę pokoju, otworzyła buteleczkę. Ile kapsułek trzeba, by pokonać męczyzną postury Coltona? I czy nie straciły jeszcze mocy? Nie chciała go zabić, tylko uśpić na tyle, by mogła uciec. Wysypała na dłoń cztery kapsułki, zawahała się i dodała jeszcze trzy. Opróżniła je, a proszek ostrożnie ukryła w zaciśniętej ręce. Potem, nabierając głęboko powietrza, weszła do pokoju.

Colton wciąż kucnął przy palenisku, gdzie pojawił się niewielki płomień. W połączeniu z lampami naftowymi tworzył ciepłą, niemal przytulną atmosferę.

Maddie zwinęła się na kanapie. Colton dołożył do ognia dwa polana, wstał i wytarł ręce w spodnie.

- To powinno nas ogrzać - stwierdził i urwał, patrząc na Maddie.

W koszulce na ramiączkach poczuła się skrępowana i nagle pożałowała, że zdjęła T-shirt. Czy Colton ją przejrzał? Siłą woli spojrzała mu w oczy, ale jego twarz była nieczytelna.

- Tak, zapomniałam już, jakie zimne są w górach noce, ale tu jest już ciepło. - Wskazała na sypialnię. - Będę spała w pokoju dziadka, jeśli nie ma pan nic przeciw temu, żeby przespać się na kanapie. Poszukam w szafie poduszki i koca.

Usiadł na drugim końcu kanapy i położył na oparciu rękę.

- Sypiałem w gorszych miejscach. Proszę się mną nie przejmować. Mam w samochodzie śpiwór.

Znowu wzięła głęboki oddech. Jeżeli ma to zrobić, musi to zrobić od razu. Nie wiadomo, jak szybko tabletki zadziałają, nie chciała całą noc czekać, aż Colton uśnie.

Podniosła się z kanapy.

- Ja... trochę się denerwuję jutrzejszym dniem. Pewnie nie zmruję oka. - Podeszła do wbudowanej w ścianę szafki obok kominka i otworzyła ją. W szafce stało kilka butelek mocnego alkoholu i nieduże szklanki. Wyjęła dwie z nich i wybrała bourbona z Kentucky. Odwróciwszy się do Coltona, uniosła butelkę. - Wypiję łyk, pomoże mi zasnąć. - Zawahała się. - Dołączy pan do mnie czy jest pan w pracy?

Zmrużył oczy, jakby usiłował odgadnąć, co jej chodzi po głowie. W końcu wzruszył ramionami.

- Dla mnie kapkę.

Szybko się znów odwróciła, by nie dojrzał ulgi na jej twarzy. Gdyby nie zechciał z nią wypić, musiałyby wymyślić inny plan. Ukradkiem wsypała do szklanki trzymanej w dłoni proszek, potem zalała go alkoholem i lekko zamieszała palcem, z nadzieją, że krzykliwy wzór na szklance przesłoni resztki proszku, które ewentualnie pozostaną na szkle. Dla siebie naląła na dwa palce i z dwiema szklankami wróciła na kanapę.

- Zdrowie. - Podała Coltonowi szklankę.

Wypiła łyk, celowo na niego nie patrząc, gdy jednym haustem ją opróżnił.

- Uff. - Odstawił szklankę na stolik. - Nigdy nie przepadałem za bourbonem, teraz wiem, dlaczego. To paskudztwo.

Z wyrzutami sumienia spuściła wzrok. Colton poczuł gorycz leku. Miała nadzieję, że niczego nie będzie podejrzewał. A gdyby tak wziął do ręki szklankę i na dnie dojrzał ślad po leku? Gdyby proszek nie rozpuścił się wystarczająco, by mógł go przyswoić? Gdyby lek nie działał? Musi jeszcze tej nocy opuścić dom dziadka, jeśli nie chce stracić szansy na uwolnienie brata.

- Wszystko w porządku? Chyba nie będzie pani znów płakać?

W jego głosie usłyszała niepokój. Z trudem odsunęła od siebie poczucie winy.

- Oczywiście, że nie. - Zaśmiała się drżącym głosem. - Czuję się tak dobrze, jak mogę się czuć w tej sytuacji, biorąc pod uwagę, że jutro wsadzą mnie za kratki.

Spojrzał na nią z pobłażaniem.

- Nie wsadzą pani za kratki.

Oczy Maddie wypełniły się łzami.

- Myślę, że wsadzą. Stracę pracę. Wszystko stracę. - Pochyliła się i oparła czoło na ręce. - O czym ja myślałam?

- Hej. - Głos Coltona był ciepły i kojący. Wyjął jej z ręki szklankę i postawił na stoliku. Potem delikatnie przytulił Maddie. - Co się dzieje? Czemu chciała pani obrabować bar? Jestem pewien, że każdy bank negocjowałby z panią spłatę długu, więc proszę powiedzieć prawdę.

W jego ramionach było jej tak dobrze. Tak ją kusilo, by zarzucić mu ręce na szyję i wszystko wyznać. Z trudnością się odsunęła, powstrzymując łzy.

- Już powiedziałam - mruknęła. - Jestem po uszy w długach. Nie myślałam logicznie. Popełniłam błąd. To się nie powtórzy.

- Z pewnością.

Podniosła wzrok. Jego twarz była bliżej, niż się spodziewała. Jego oczy były tak czarne, że ledwie odróżniała źrenice od tęczówek. Stanowczość w jego oczach zamieniła się w coś, co sprawiło, że puls jej przyspieszył. Spojrzenie Coltona powędrowało na jej wargi i tam się zatrzymało.

Chciał ją pocałować. Już wiedziała, jak silne są jego ramiona, i nagle zapragnęła poczuć smak jego pocałunku. Rozchyliła wargi i przytknęła oczy. Wówczas delikatnie ją odsunął i wstał. Podeszedł do kominka, stanął tyłem do Maddie. Czuła jego napięcie.

- Niech pani się położy, Madeleine - powiedział. Podniosła się i przez chwilę stała niepewna, co dalej.

Colton nie zmienił pozycji. Ruszyła do sypialni dziadka.

Gdy odsunęła koldrę, usłyszała, że wyszedł z domu. Kilka minut go nie było, a gdy wrócił, wyjrzała przez drzwi i zobaczyła czarny worek marynarski, który niósł na ramieniu i śpiwór, który ścisnął pod pachą. Rzucił śpiwór na podłogę. Maddie dojrzała na nim żółte litery: US Marshal.

Cicho przytknęła drzwi, zostawiając niewielką szparę, by słyszeć Coltona. Położyła się do łóżka w ubraniu i przykryła kocem. Wydawało się, że leżała tak godzinami, nim wreszcie światło w saloniku zgasło, choć wiedziała, że minęło ledwie pół godziny. Po jakim czasie zaczną działać proszki nasenne?

W pewnym momencie drzwi do sypialni szerzej się otworzyły. Maddie zeszywniała. Spod przymrużonych powiek widziała sylwetkę Coltona, a za jego plecami słabe światło kominka. Kilka minut stał i na nią patrzył, aż pomyślała, że słyszy jej walące serce. Po pewnym czasie, który wydawał się wiecznością, wycofał się z sypialni i zamknął drzwi.

Usiadła i odsunęła włosy z twarzy. Sprawdzał ją? Chciał się upewnić, że nie uciekła? Czy jakiś inny powód skłonił go do nagłego pojawienia się w jej pokoju? Może źle się poczuł? Podejrzewa, że podała mu leki? A może zmienił zdanie i postanowił dokończyć to, co zaczęli na kanapie?

Zdawała sobie sprawę, że mu się podoba. Rozważała nawet, czy tego nie wykorzystać, lecz odrzuciła ten pomysł. Colton nie wyglądał na człowieka, którego łatwo uwieść, a zresztą nie wiedziała, czy starczyłoby jej odwagi. Na samą myśl o zbliżeniu z Coltonem czuła ucisk w żołądku. Instynktownie wiedziała, że seks byłby udany, ale miała też świadomość, że później byłaby na sobie wściekła. Nie posiadała wiele, lecz wciąż się szanowała.

Opadła na poduszkę. Przez jakąś godzinę w jej głowie kołatały się myśli. Co zrobi, gdy wymknie się z domu dziadka? Spojrzała na zegarek. Dochodziła północ. Z sąsiedniego pokoju nie słyszała żadnych hałasów.

Ostrożnie usiadła i odrzuciła koc. Jej plecak wciąż znajdował się w samochodzie. Przynajmniej tym nie musi się martwić. Nabrała powietrza, wstała i na palcach podeszła do drzwi, starając się, by deski nie skrzypiały. Wzięła do ręki buty, bo zamierzała w skarpetkach przejść przez salonik do wyjścia.

Otworzyła drzwi sypialni. W kominku pozostał żar, pokój pogrążył się w ciemności rozświetlanej tylko jedną lampą, która stała obok kanapy i świeciła małym płomieniem. Idąc cicho przez pokój, zerknęła na kanapę. Wstrzymała oddech.

Colton leżał na śpiworze z jedną ręką pod głową, a drugą na brzuchu. Koszula nieco się uniosła, odsłaniając ciemną skórę nad bokserkami. Nawet przez sen emanował seksualną energią, od której zaschło jej w ustach. Głowę odwrócił na bok, na twarzy pojawił się ślad zarostu. Tylko siłą woli trzymała ręce przy sobie.

Minęła kanapę i przykucnęła obok worka marynarskiego. Zerkając na Coltona, otworzyła worek i odszukała kajdanki, a przy okazji natknęła się na inny metalowy przedmiot. To służbowa broń Coltona. Wydała jej się ciężka, nie pasowała do jej dłoni, w niczym nie przypominała rewolweru zabawki. Krzywiąc się, wrzuciła rewolwer do worka. Tymczasem Colton przez sen zasłonił ręką oczy, jakby chciał je osłonić przed światłem lampy.

Stara kanapa obita kraciastym tweedem miała dębowe podłokietniki. Maddie próbowała ocenić grubość szczebli. Colton oddychał znów głęboko i rytmicznie.

Ściskając w rękę kajdanki, wyprostowała się i cicho podeszła do kanapy. Colton nadal zakrywał oczy, więc jej wzrok przyciągnęły jego wargi. Pełne, stworzone do grzechu. Wiodła wzrokiem wzdłuż konturu jego twarzy, mówiąc sobie, że jest tego nieświadomy. W końcu tylko patrzyła, nie zamierzała go... dotykać. Nie w ten sposób w każdym razie. Bo tak czy owak musiała go dotknąć. Błyskawicznie założyła jedną obręcz wokół nadgarstka Coltona i przeplotła łańcuch między listwami podłokietnika.

Nagle Colton coś mruknął i zaspanym wzrokiem spojrzał jej w oczy. Zanim domyśliła się jego zamiarów, uniósł wolną rękę i kładąc ją na jej karku, przyciągnął ją i pocałował. W pierwszej chwili szok nie pozwolił jej zaprotestować. Potem, czując jego ciepłe wargi, jęknęła, nie wiadomo, czy w proteście, czy z przyjemności. Z westchnieniem rezygnacji na moment mu uległa.

Pocałunek był odurzający jak narkotyk i napełnił ją słodką tęsknotą. Colton lekko pachniał bourbonem, mocniej dymem z palonego drewna i męskością. Dla jej obudzonych zmysłów była to druzgocąca kombinacja. Kiedy się poruszył, poczuła jego podniecenie.

Nie wiedziała, skąd wzięła siłę, by się od niego odsunąć. Przez chwilę, ciężko dysząc, tylko na siebie patrzyli. Senność w jego ciemnych oczach zastąpiła zmysłowa obietnica.

Maddie pospiesznie chwyciła wolną rękę Coltona, splatając palce z jego palcami.

- Madeleine - odezwał się schrypniętym głosem. - Nie sądzę...

- Cii. - Pochyliła głowę i namiętnie go pocałowała.

Ten smak i zapach były nie do odparcia. Potem, nim odgadł jej zamiary, przesunęła jego rękę i szybko zapięła na niej drugą obręcz kajdanek. Łańcuch przechodził między listwami podłokietnika, skutecznie utrzymując ręce Coltona za głową.

- Hej! - zawołał ze śmiechem. - Co robisz?

- Na wszelki wypadek - odparła bez tchu.

Unikając jego spojrzenia, usiadła na nim, a potem przesunęła się na jego uda. Widziała, jak do kieszeni chował kluczyki. Zerknęła na jego twarz. Patrzył na nią z półśmiechem, wciąż niepewny jej planu. Był bardzo podniecony. Miała chęć dotknąć jego brzucha, otrzeć się biodrami o jego biodra. Nie patrząc na Coltona, wsunęła rękę do kieszeni spodni.

- Jeśli próbujesz się do mnie dostać, nie mam nic przeciwko temu - rzekł wciąż trochę sennie.

Chciał jej pomóc, ale kajdanki go powstrzymały.

- Co do...? - Obrócił głowę i z rozbawieniem spojrzał na swoje skute ręce.

Cholera. Pierwsza kieszeń była pusta.

Colton szarpnął kajdankami, próbował się uwolnić.

- Proszę - rzekła błagalnie. - Zrobisz sobie krzywdę.

Znieruchomiał i zmierzył ją wzrokiem. Zaczynał sobie uświadamiać, co się stało.

- Nie rób tego - rzekł schrypniętym głosem. - Zdejmij mi kajdanki.

Przygryzła wargę i wsunęła rękę do drugiej kieszeni Coltona. Gwałtownie uniósł biodra, a zaraz potem z okrzykiem przerażenia wylądowała na podłodze. Odsunęła się od kanapy, ze strachem patrząc na Coltona, którego szarpanina dosłownie uniosła mebel z podłogi.

- To nie ma sensu. - Otworzyła dłoń, w której ścisnęła kluczyki. - Już je mam.

Z jeszcze większą wściekłością próbował się wyswobodzić. Maddie wstała.

- Madeleine - odezwał się, a ona czuła na plecach jego wzrok. - Nie uciekniesz ode mnie. Znajdę cię.

Zatrzymała się. Colton przestał się rzucać, jego spojrzenie dowodziło, że mówi szczerze.

- W takim razie zabiorę i to. - Pochyliła się i z worka wyjęła rewolwer. Próbowała trzymać go pewnie, ale śliski metal budził w niej odrazę, zupełnie jakby trzymała w ręce węża. - Nie próbuj mnie zatrzymać. Nie szukaj mnie, bo zmusisz mnie do zrobienia czegoś, czego będę żałowała. Pozwól mi odejść.

- Niech cię szlag, Madeleine! - Usiłował nad sobą zapanować. - Posłuchaj mnie przez chwilę. Mogę ci pomóc. Nie rób tego. Nie wychodź stąd sama. Zostań do rana. Razem to załatwimy.

Znowu to robił, mówił tym swoim hipnotycznym głosem, a ona stała jak wrośnięta w ziemię i wbrew sobie go słuchała. Na domiar złego widok Coltona na kanapie z rękami w kajdankach był niemal zbyt nęcący, by mu się oprzeć. Przez szalony ulotny moment dała się ponieść wyobraźni. Jak długo by się opierał, gdyby wykorzystwała sytuację? Jak długo opierałaby się pokusie, by się tego dowiedzieć?

- Ja... wybaczone, Colton. Muszę iść. - Wsunęła stopy w buty i niemal wybiegła z pokoju, byle już na niego nie patrzeć. Z ręką na złamanej klamce przystanąła. - Zostawiłam w worku kluczyk do kajdanek. Chcę ci za wszystko podziękować. I przepraszam, że nie spotkaliśmy się w innych okolicznościach.

Zanim powiedział coś, co skłoniłoby ją do zmiany zdania, wypadła z domu, zamykając drzwi. Gdy biegła do samochodu, usłyszała wściekły krzyk Coltona i zadrżała.

Miał rację. Mogła uciekać, ale on ją znajdzie. Miała tylko nadzieję, że kiedy tak się stanie, nie będzie za późno.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Słuchał oddalającego się szumu silnika i prawie wył ze złości. Wziął głęboki oddech, by się uspokoić i rozważyć sytuację. Kanapa była dość solidna. Mimo wszystko przy użyciu odpowiedniej siły ma szansę się uwolnić.

Po dziesięciu minutach sturlał się z kanapy na odłamki drewna na podłodze. Pokuśtykał do worka marynarskiego, zanurzył w nim ręce, aż znalazł kluczyk i w końcu się uwolnił. W głowie mu się kręciło. Było mu niedobrze. Czuł się jak struty.

Wiedział, że musi ruszyć za Madeleine, ale najpierw trzeba oprzytomnieć. Przez ciemną sypialnię pokuśtykał do łazienki. Boże, czuł się paskudnie. We fluorescencyjnym świetle jego brązowa skóra nabrała sinego odcienia. W skroniach mu pulsowało, w ustach czuł niesmak. Odkręcił kurek, nabrał wodę w dłoń i schłodził twarz, a potem otworzył szafkę, szukając środka na ból głowy.

Kiedy wziął do ręki małą buteleczkę z lekarstwem na receptę, spojrzął na nią, mrużąc oczy. Była otwarta, w środku znajdowały się trzy kapsułki. Przechylił do światła mały kosz na śmieci i zajrzał do środka. Na dnie kosza leżało co najmniej pięć zgniecionych kapsulek.

Pochylił się nad umywalką i roześmiał. Ta mała wiedźma podała mu alkohol ze środkiem nasennym. Na szczęście lekarstwo było przeterminowane, bo inaczej na tym odludziu mógłby się znaleźć w tarapatkach. Ale przynajmniej znał powód swojego podłego samopoczucia. Śmiał się jednak nie dłużej jak pół minuty, gdy pomyślał o konsekwencjach działania Madeleine.

Zabrała mu rewolwer. Jezu.

Cała ta sytuacja z poważnej zamieniła się w krytyczną. Wszystko przez to, że dał się omamić błyszczącym bursztynowym oczom. Przytulał ją, pocieszał. Chryste, jaki to był wysilek, by odesłać ją do łóżka samą. Kiedy później zbudził się i ujrzał ją nachyloną nad nim z takim wzrokiem, jakby chciała go pożreć, zakładał, że zamierzała kontynuować to, co przerwali. Pocałunek wydawał się równie naturalny jak oddech. Colton nie był jednak przygotowany na to, jak Maddie podziła na jego zmysły. Pragnął jej, bardzo pragnął.

Zastanowił się, w których momentach wieczoru była szczerą, a kiedy grała, by się go pozbyć. Zresztą to bez znaczenia. Musi ją odnaleźć. Wzięła jego służbową broń. Nawet jeśli nie zamierzała jej użyć, sam fakt, że ją posiadała, sprawiał, że stanowiła zagrożenie, a każdy policjant miałby prawo ją zastrzelić, gdyby tylko sięgnęła po rewolwer.

Oparł się o umywalkę i przeklął w duchu. Był kompletnym durniem. Pozwolił, by emocje wzięły górę nad rozsądkiem. Nie docenił jej desperacji. Wiedząc, że Madeleine jest w kłopotcie, nie pomyślał, że postąpi tak pochopnie i nie zachował wystarczającej ostrożności. Był gliną, na Boga, a zabrakło mu rozumu.

Nie powinien był pozwolić Madeleine opuścić baru. Należało zawiadomić policję w Lovelock, żeby się nią zajęli. Naruszył protokół i zlekceważył wszystkie paragrafy. Teraz kobieta, której chciał pomóc, była gdzieś daleko, uzbrojona i niebezpieczna, a przy tym bardziej bezbronna, niż jej się wydawało. Nie miał wyboru, musiał się skontaktować z policją i zgłosić kradzież broni.

Straci odznakę. W najlepszym razie zostanie zawieszony. Koledzy uśmieją się, kiedy się dowiedzą, że wykiwała go kobieta wymachująca zabawką.

Najbardziej idiotyczne było to, że nadal chciał jej pomóc. Nie miało to nic wspólnego z jej urodą. Po prostu widział w jej oczach strach i desperację. Przypominała mu jednocześnie lisa, który zabłądził do jego letniego domu i tamtego chłopca w sądzie. Nie był w stanie mu pomóc, ale mógł pomóc Madeleine. Czuł, że powinien to zrobić.

Potarł twarz, czekał, aż miną mdłości. To nie koniec. Jego samochód jechał na resztkę paliwa, a Madeleine nie miała pojęcia o rezerwowym zbiorniku. Wątpił, by w ogóle zjechała ze zbocza. Jeżeli od razu wyjdzie, może ją dogoni.

Jakieś pięć kilometrów od domu znalazł swój porzucony samochód. W stacyjce nie było kluczyków, nie widział też rewolweru ani plecaka Madeleine. Wyjął z tyłu latarkę i obejrzał ziemię wokół auta, sprawdzając odciski jej stóp. Kierowała się na dół, i to biegiem.

Wyszła z domu niespełna przed godziną. Sądził, że mogła dotrzeć do jednej z podrzędnych dróg, z pewnością nie do autostrady. Jeżeli szczęście mu dopisze, może ją dogonić. Sięgnął pod tylny zderzak i wyjął zapasowy kluczyk. Przełączył się na rezerwowy zbiornik, wdzięczny, że w to zainwestował, a jeszcze bardziej wdzięczny, że Madeleine o nim nie wiedziała. Silnik obudził się do życia.

Nie spuszczać wzroku z wyboistej drogi, otworzył schowek na rękawiczki i z ulgą znalazł drugi rewolwer. Na szczęście go nie odkryła. Sięgnął po wciśnięte za rewolwerem radio i zadzwonił do dyspozytorki, podając jej skrótowe informacje. Potem czekał. Niespełna pięć minut później komórka zaczęła dzwonić. Spojrzał na wyświetlacz. Jego szef, Jason Cooper.

- Black. - Znajomy głos huknął bez zbędnych wstępów. - Zechcesz mi powiedzieć, co się, u diabła, dzieje?

- Proszę tylko o dwadzieścia cztery godziny, żeby doprowadzić tę dziewczynę. Z własnej woli opuściłem z nią bar, spędziłem z nią ostatnie dwanaście godzin. Ona nikogo nie skrzywdzi, założę się o własne życie, że nie użyje broni.

- A jeśli użyje? Zabierając ci broń, już popełniła przestępstwo.

- Biorę pełną odpowiedzialność. Ona nie użyje broni.

Zapadła długa cisza. Colton szanował Coopera. Od ponad pięciu lat pracowali razem. Colton uważał go za przyjaciela, ale teraz nie potrafił powiedzieć, co myśli Cooper. Wiedział tylko, że musi dogonić Madeleine, zanim znajdzie się poza granicami jego jurysdykcji.

- W porządku - odparł cicho Cooper, a Colton w jego głosie usłyszał wahanie. - Na dwadzieścia cztery godziny wstrzymam list gończy, ale nie dłużej. Robię to wyłącznie dla ciebie. Gdyby ktoś inny mnie prosił, odpowiedź brzmiałaby nie. Pamiętaj tylko, że jeśli w ciągu dwudziestu czterech godzin nie doprowadzisz jej na komisariat, ktoś inny przejmie sprawę.

- Rozumiem. Może pan zrobić mi przysługę i ją sprawdzić? Muszę wiedzieć, w co się wpakowała.

- Już to robimy. Dam ci znać.

- Dziękuję. Wkrótce ją doprowadzę. - Rozłączył się i dodał gazu.

Zgodnie ze słowami Madeleine u podnóża góry znajdowała się niewielka stacja benzynowa. W oknach było ciemno, ale za stacją i sklepem stała mieszkalna przyczepa, gdzie Colton dojrzał światło. Potrzebował benzyny, a wątpił, by przed wyczerpaniem się zapasowego zbiornika natknął się na kolejną stację.

Zaparkował i zastukał w drzwi przyczepy, które otworzył mężczyzna z siwą brodą i bystrymi oczami.

- Gdzie się pali, synu? Czemu walisz w moje drzwi w środku nocy?

Colton pokazał mu odznakę.

- Przepraszam, że nachodzę o tej porze, ale potrzebuję paliwa. - Otworzył portfel i wyjął podwójną sumę, jaką zapłaciłby za napełnienie obu zbiorników. - Mam nadzieję, że to panu zrekompensuje kłopot.

Stary spojrział na pieniądze, a potem się zaśmiał.

- Cóż, synu, może poczuję się trochę lepiej.

Colton ruszył za nim w stronę stacji i czekał, aż stary włączy światło. Kiedy mężczyzna napełniał zbiornik, zerknął na Coltona.

- Więc jest pan glina, tak? Co pan tu robi o tej porze? Szuka pan zbiegłego więźnia?

- Mniej więcej. - Sięgnął do tylnej kieszeni dżinsów i wyjął zdjęcie. Pokazał mężczyźnie najnowsze zdjęcie Madeleine. - Widział pan tę dziewczynę?

Mężczyzna wziął zdjęcie, uniósł je do światła, a potem niespodzianie parsknął śmiechem.

- A niech to!

- Poznaje ją pan?

- Jak diabli. To Maddie Howe i jej dziadek, stary sukinsyn utracjusz.

- Maddie Howe?

- Tak. Maddie od Madeleine czy coś takiego. Jak dorastała, mówiliśmy, że powinna się nazywać Maddie Howe Kłopot. - Oddał zdjęcie, prychnąwszy drwiąco. - Jeśli to jej szukasz, wcale mnie to nie dziwi. Ta dziewczyna to same kłopoty.

- To znaczy?

- Kłamczucha i oszustka od urodzenia. Ładna była i wykorzystywała urodę, żeby ludzi oszukać. Wiedzieliśmy, przez co przeszła, więc nikt jej nie wydał. Myśleliśmy, że i tak wyląduje za kratkami. - Pokręcił głową. - Czyli mieliśmy rację.

Stary rozbudził ciekawość Coltona.

- A przez co przeszła?

Mężczyzna wzruszył ramionami.

- Co pan nie pomyśli, zgadnie pan. Była mała, jak straciła rodziców. Wychowywał ją dziadek, tu, w tych górach, ale to nie tłumaczy, dlaczego oszukiwała ludzi, co chcieli jej pomóc.

- Kiedy ostatnio ją pan widział?

Mężczyzna ściągnął twarz w zamyśleniu.

- A niech to, nie wiem. Może dziesięć, może dwanaście lat temu. Siedziała tu z bratem, wyciągali od turystów pieniądze i zostali przyłapani. - Uśmiechnął się, pokazując niepełny komplet zębów. - Jak ją ostatnio widziałem, ciągnęła za sobą tego smarkacza i zarykiwała się, włączając na górę i kręcąc tym swoim tyłeczkiem. - Prychnął. - Na niektórych jej łzy robiły wrażenie, ale mnie nie oszukała. Ani na jedną cholerną sekundę.

Colton wcale nie był tego pewien. Zastanawiał się, czy w sekrecie stary nie żywił jakichś uczuć do Madeleine. Mężczyzna wyjął dyszę z otworu zbiornika.

- No, wystarczy, synu. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, wracam do wyrka. Udanego polowania. Jeśli zobaczysz Maddie Howe, przekaz jej pozdrowienia od starego Zeke'a. Nie zapomnij dodać, że jeśli jej się zdaje, że wpłacę za nią kaucję, musi się cholernie dobrze zastanowić. - Zaryczał śmiechem i szurając nogami, powlókł się do budynku stacji wyłączyć światło.

Kiedy znów wyszedł, Colton skinął mu głową.

- Nie zapomnę. Dzięki za pomoc, Zeke.

Zaczekał, aż stary zamknął się w przyczepie, po czym wsiadł do samochodu i ruszył tam, gdzie jego zdaniem skierowała się Madeleine. Maddie, poprawił się. Znajdzie ją. To nie ulega wątpliwości.

TLR

ROZDZIAŁ PIĄTY

Czternaście godzin później zaczął myśleć, że instynkt go zawodzi. Był przekonany, że jedzie we właściwym kierunku, że tylko kilka minut dzieli go od Madeleine. Sfrustrowany odwrócił się od recepcji obscurnego motelu na obrzeżach Reno. Dochodziła czwarta po południu, a on musiał przyznać, że nie ma pojęcia, gdzie jest Maddie.

Po wizycie na stacji benzynowej zjechał górską drogą na dół, aż dotarł do głównej szosy, a potem ukrył samochód w gęstwinie krzewów i czekał. Istniało ryzyko, że zjeżdżając z góry, minął Maddie. Mogła dostrzec światła reflektorów i się ukryć. Ale kiedy minęły dwie godziny, a ona się nie pokazała, zrozumiał, że do szosy dotarła przed nim. Pewnie się z kimś zabrała.

W porze śniadaniowej zatrzymał się na najbliższym parkingu i pokazywał zdjęcie Maddie zmęczonym szoferom ciężarówek. Mówił im, że znalazła się w tarapatkach i jeśli jej nie znajdzie, nim zrobi to policja, dziewczyna może zginąć. Niczego się nie dowiedział.

Na kolejnych sześciu postojach dla ciężarówek było tak samo. Brakowało mu już pomysłów. Nie chciał myśleć, że Maddie zatrzymała prywatny samochód. Kierowcy ciężarówek przestrzegali na drodze kodeksu honorowego. Z każdym z nich Maddie byłaby bezpieczniejsza niż z jakimś kierowcą auta osobowego.

Siedział na ostatnim z sześciu parkingów i planował kolejny krok, kiedy w szybę zapukał prymitywny na oko drab. To był jeden z kierowców ciężarówek. Powiedział Coltonowi, że minionej nocy jego kolega zabrał dziewczynę z obrzeży Winnamucca. Jechała do Reno. Pytała kierowcę o tani motel, a on podał jej adres. To wszystko, co wiedział.

W ciągu niecałych dwóch godzin Colton dotarł pod wskazany adres, ale obiecujący trop okazał się ślepą uliczką. Motel Ostatniej Szansy był obscurny, a jeśli Maddie tu zajrzała, ta obscurność chyba ją odstraszyła i zmusiła do dalszych poszukiwań. Jednak aby mieć pewność, kazał kierownikowi otworzyć wszystkie pokoje po kolei. W motelu mieszkało kilka kobiet, ale żadna z nich nie miała włosów i oczu w kolorze miodu.

Stał przy oknie w małym holu i patrzył na ulicę. Na tym odcinku mieściły się niemal wyłącznie tanie motele, lombardy i sklepy z alkoholem. Nie miał pojęcia, jakie sprawy Maddie miała załatwić w Reno, ale wiedział, że bardzo potrzebowała pieniędzy. Jeśli szukała noclegu, musiała znaleźć miejsce, które by jej nie zrujnowało. Westchnął sfrustrowany. Jeżeli trzeba, przeszuka wszystkie motele. Równie dobrze mógł zacząć od budy po drugiej stronie pod huczną nazwą Gospoda pod Klinczem.

Włożył ciemne okulary i położył rękę na klamce, gdy w gospodzie jego uwagę przyciągnęło jakieś poruszenie. Otworzyły się drzwi i wyszła z nich kobieta. Szczupła, ale tam gdzie trzeba zaokrąglona. Miała na sobie koktajlową suknię z połyskującego złościcie materiału z głębokim dekoltem, a na nogach delikatne sandaalki. Miodowo złote włosy spięła w luźny kok, w ręce trzymała małą błyszczącą torebkę. Kiedy Colton gapił się na nią z otwartymi ustami, podjechała taksówka. Kobieta wsiadła na tylne siedzenie.

Pchnął drzwi i pobiegł na parking do samochodu. To była jego uciekiniarka, która z chłopczycy przeobraziła się w damę. Ta zmiana mogła kogoś oszukać, ale nie jego. Tym razem nie pozwoli jej zniknąć.

Jechał za taksówką przez zatłoczone centrum Reno, trzymał się co najmniej sześć samochodów dalej. Kiedy taksówka podjechała pod eleganckie kasyno Złoty Jar, zaparkował przy krawężniku po drugiej stronie i czekał. Madeleine wysiadła i przez okno od strony pasażera podała taksówkarzowi banknoty. Portier ekskluzywnego kasyna niemal padł przed nią plackiem. Colton prychnął z niesmakiem, gdy posłała mężczyźnie olśniewający uśmiech i przemknęła przez ogromne drzwi.

Tak, naprawdę błędnie ją ocenił. Świetnie odegrała rolę damy w opałach, a on złapał się na haczyk. Och, nie miał wątpliwości, że Madeleine ma kłopoty, ale pokazała, że jest więcej niż zdolna sama się o siebie troszczyć.

Przetarł oczy zmęczonym gestem. Nie miał powodu czuć się zawiedziony, ale nigdy dotąd nie czuł się tak wykorzystany. Nieważne, że tylko sam siebie mógł za to winić. Gdyby zaarrestował ją w tym barze w Lovelock, nie siedziałby tu teraz jak idiota. Nie wspominałby jej namiętnego pocałunku. Nie myślałby, że niczego tak nie pragnie, jak położyć się na niej i sprawić, by zapomniała o wszystkim oprócz niego.

Z jękiem irytacji podjechał pod wejście do kasyna. Wysiadł i rzucił portierowi kluczyki.

- Zaraz wracam. Proszę go daleko nie zabierać.

Wszedł do kasyna i przystanął, by oczy przywykły do półmroku. Mimo wczesnej pory tłum w T-shirtach i bermudach już tam buszował, a ponad śmiechem i gwarem głosów unosił się jednostajny szum automatów do gry, które pracowały jak szalone.

Nie znosił kasyn. Nic w nich nie lubił, ani kiczowatego wystroju, ani udawanej serdeczności obsługi, ani żądzy pieniądza, która była motorem działania właścicieli oraz gości. Co gorsza, nienawidził tego, co hazard robi z nieuważnymi graczami. Widział więcej, niżby chciał, przyzwoitych ludzi, zrujnowanych przez nieodpartą siłę przyciągania jednorękich bandytów czy stołów do gry.

Zniecierpliwiony lustrował tłum. Dostrzegł pracowników ochrony, którzy baczny wzrokiem obserwowali automaty. Dalej znajdowały się stoły do gry. Odprawiając kuso ubraną kelnerkę z tacą drinków, przebijał się przez ogromną salę.

Zastanawiał się, czy znajdzie Maddie przy grze w kości czy blackjacku. Instynkt kazał mu przenieść wzrok na odległą część sali. Trudno było nie zauważyć jej wspaniałych włosów czy otulonego w połyskujące złoto ciała. Rozmawiała z ochroniarzem. Gdy Colton zaczął przedzierać się przez tłum, mężczyźni otworzyli ciężkie zdobione drzwi i zaprosił ją do środka.

Dotarł do drzwi niespełna minutę później, ale nim spróbował je otworzyć, drogę zastąpił mu jak wyrzeźbiony z granitu olbrzym, który położył mu rękę na ramieniu. W pierwszej chwili chciał ją zrzucić, zamiast tego zmierzył gościa lodowatym spojrzeniem.

- Jakiś problem? - Wiedział, że jego głos brzmiał nieprzyjaźnie, ale był zbyt zniecierpliwiony, by udawać grzeczność.

Mężczyźni zabrał rękę, ale się nie cofnął.

- Pan wybaczy - odrzekł, ale wcale nie wyglądał, jakby było mu przykro. - To prywatny salon gry.

- To znaczy?

- To znaczy, że nasi goście muszą spełniać pewne... standardy. - Znacząco spuścił wzrok na czarny T-shirt i džinsy Coltona. Potem spojrział mu w oczy, na pozór uprzejmie, ale nieugięte. - Mamy tu jednak butik z męską odzieżą, sir.

Colton parsknął śmiechem.

- Świetnie - mruknął.

Mógł wyjąć odznakę i nalegać, że musi tam wejść, ale ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było zwracanie na siebie uwagi. Nie chciał ryzykować, że Madeleine znów ucieknie. Zdusiwszy przekleństwo, zakręcił się na pięcie.

Po dwudziestu minutach z portfelem uszczuplonym o kilkaset dolarów wrócił do drzwi prywatnego salonu gry. Stojący przed tą świętą bramą ochroniarz zmierzył go wzrokiem, patrząc na czarną elegancką koszulę i czarną marynarkę, po czym cofnął się i otworzył drzwi.

Colton szybko zlustrował bogato urządzone wnętrze, zauważył wyraźną różnicę między tutejszą klientelą i turystami z pozostałej części kasyna. Ci tutaj nosili drogie ciuchy od modnych projektantów. Idąc przez salę, czuł na sobie spojrzenia zarówno kierowników stołów, jak ukrytych kamer.

Od eleganckiej hostessy przyjął szkocką i sączył ją powoli, przechodząc od jednego zatłoczonego stołu do drugiego, jakby próbował zdecydować, gdzie pozbyć się pieniędzy. Przy jednym ze stolików blackjacka dojrzał Madeleine i omal się nie zakrztusił. Po obu jej stronach siedzieli mężczyźni, jeden szeptał jej coś do ucha, drugi głaskał ramię. Madeleine śmiała się rozkosznie i każdemu z nich rzucała kokietujące spojrzenia.

Gdyby na własne oczy nie widział jej przeobrażenia, nigdy by w to nie uwierzył. W istocie, która siedziała przy stole do gry, nie było cienia chłopczycy czy kobiety w dramatycznej sytuacji. Głęboki dekolt wystawiał na pokaz uniesione piersi, krótka spódnica odkrywała szczupłe uda. Colton zacisnął palce na szklance.

Nie zauważyła go. Usiadł przy niedalekim barze, odwracając się w jej stronę. Przyciągała uwagę. Nawet rozdający sprawiał wrażenie oczarowanego jej gardłowym śmiechem i flirciarskim spojrzeniem. Wokół jej stolika zebrał się mały tłumek, a ona idealnie odgrywała swoją rolę.

Na stole przed nią rósł stos żetonów i choć od czasu do czasu traciła, dużo więcej wygrywała. Obserwował ją przez godzinę. Stos żetonów podwoił się, teraz już nie tylko goście się jej przyglądali. Do stolika zbliżyli się ochroniarze i mówili coś przyciszonym głosem, patrząc na nią. Jeśli Colton miał wątpliwości co do tego, co robi Madeleine, obecność ochroniarzy je rozwiązała. Madeleine liczyła karty.

Choć nie było to nielegalne, kasyno miało prawo pozbyć się każdego, kto był podejrzany o stosowanie tej strategii. Madeleine groziło, że w eskorcie ochroniarzy zostanie wyprowadzona z eleganckiego salonu, gdzie grano o wysokie stawki. Mogli ją też zaprowadzić do jednego z pomieszczeń na tyłach i tam ją przesłuchać albo zrobić z nią coś, co nie było do końca legalne.

Odstawiwszy szklankę, Colton ruszył do stolika Madeleine i pochylił się nad nią. Boże, pachniała bosko.

- Koniec gry, kochanie - rzekł cicho, a jego oddech poruszył kosmyki na jej skroni. - Zabierz wygraną, zanim ci źli chłopcy uznają, że na nią nie zasłużyłaś, i chodź.

Choć na niego nie spojrzała, czuł jej osłupienie. Nie przypuszczała, że ją znajdzie. W każdym razie nie tak szybko. Potem jednak otrząsnęła się, zebrała żetony i wdzięcznie wstała od stolika.

- Bardzo dziękuję, ale muszę już iść - oznajmiła, uśmiechając się słodko do rozdającego. - Starszy brat mnie znalazł, koniec zabawy.

Tylko Colton wiedział, że nie miała na myśli rodzzonego brata. Zignorowała przyjacielskie protesty. Rzuciła Coltonowi przelotne spojrzenie, po czym go minęła i popłynęła do wyjścia. Zdążył jednak zobaczyć jej wrogość i ból, była na niego wściekła. Położył kres jej zdumiewająco szczęśliwemu losowi.

Dogonił ją i chwycił za łokieć.

- Kasyna nie patrz życzliwym okiem na liczenie kart.

- Jak mnie znalazłeś? - spytała.

- Kochanie, to było śmiesznie łatwe. - Kłamał, ale nie zamierzał jej informować o swojej frustracji z powodu długich poszukiwań. - Szczerze mówiąc, gdybym cię nie znał, pomyślałbym, że chciałaś, żebym cię znalazł.

Westchnęła zirytowana, ale poza tym go ignorowała, idąc w stronę kasy. Colton sądził, że wygrała około pięciu tysięcy dolarów. W następnej chwili zobaczył dwóch ochroniarzy kierujących się w ich stronę. Podejrzewał, że Madeleine nie będzie miała okazji spieniężyć żetonów.

- Chodź. - Pociągnął ją do wyjścia. - Później wrócę z żetonami, teraz powinniśmy stąd zniknąć.

- Mowy nie ma. - Próbowала uwolnić się z jego uścisku. - Nie wyjdę bez pieniędzy.

- Po pierwsze, kochanie - rzekł Colton - nie masz wyboru. Jesteś aresztowana, a jeśli chcesz, żebym założył ci kajdanki i w obecności wszystkich tu zebranych odczytał twoje prawa, chętnie spełnię prośbę. Po drugie, jeśli ci goryle idący w naszą stronę mają coś do powiedzenia, będziesz miała szczęście, jak wyjdiesz stąd cała.

Madeleine zerknęła na mężczyzn i zbladła. Mocniej ścisnęła w dłoniach żetony, a uwadze Coltona nie umknęło, że się do niego zbliżyła. Mijali rzędy automatów do gry, przepychając się przez tłum zwyczajnie ubranych turystów, a kiedy od wyjścia dzieliło ich ledwie kilka kroków, zostali zatrzymani.

- Przepraszam. - Na ramieniu Madeleine wylądowała tłusta dłoń.

Odwróciła się i stanęła twarzą w twarz z dwoma mężczyznami, patrząc na nich niewinnym wzrokiem. Colton także się odwrócił, gotów wyjąć odznakę i interweniować, gdy Madeleine nagle się potknęła. Z piskiem padła do przodu, prosto na niczego niespodziewających się ochroniarzy, a kolorowe żetony poszybowały w różne strony. Ochroniarze próbowali je złapać w locie, ale upadły na ziemię i toczyły się jak szalone pod stopami zdumionych turystów, którzy na wyścigi zaczęli zbierać cenne krażki.

Colton omal nie stracił równowagi, gdy duża kobieta na czworakach sięgnęła po żeton, który wylądował między jego nogami. Cudem utrzymał równowagę i zdał sobie sprawę, że stracił z oczu Madeleine.

W jednej chwili zapomniał o żetonach i nerwowo lustrował tłum. Madeleine zniknęła. Obrócił się do wyjścia i przeklął, widząc błysk jej sukni, kiedy zniknęła na tylnym siedzeniu taksówki. Pognał przed siebie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wciąż nie wierzyła, że tak szybko ją odnalazł. Tak uważała! Wróciła do obscurnego motelu, gdzie zostawiła rzeczy, wiedząc, że ma parę chwil, by się spakować i zniknąć z Gospody, nim Colton się tu pojawi. Niezależnie od tego, że jej życie błyskawicznie zamieniło się w monumentalną katastrofę, musiała wziąć się w garść.

Otarła łzy z policzków i zdjęła sandały. Ledwie sięgała suwaka z tyłu sukni. Zabrało jej to kilka minut, ale w końcu rozpięła suknię i w pośpiechuomal nie podarła materiału. Straciła cenne sekundy, składając suknię między dwoma warstwami bibuły, po czym schowała ją do plecaka. Za dużo na nią wydała, płacąc pieniędzmi ze sprzedaży samochodu za strój, który pozwolił jej wejść do prywatnego salonu gier. I wszystko na nic. Pozostały jej żetony wartości około trzech tysięcy dolarów - za mało, by uwolnić Jamiego.

Łzy złości przesłoniły jej wzrok. Zdjęła kolczyki ze sztucznych brylantów i rzuciła je na suknię, a na to wszystko położyła sandały. Wyprostowała się i przez chwilę stała, nasłuchując.

Właśnie sięgała po coś do ubrania, kiedy drzwi jej pokoju gwałtownie wpadły do środka. Krzyknęła, choć wiedziała, czyją sylwetkę zobaczyła w drzwiach. Zakryła się poduszką, świadoma, że ma na sobie jedynie stringi.

W niemej rozpaczypatrzyła na Coltona. Był wściekły. Trzasnął drzwiami i wszedł do pokoju. Maddie się cofnęła, przyciskając do piersi poduszkę. Serce waliło jej ze strachu i z podniecenia. W czarnej koszuli i marynarce Colton wyglądał złowrogo i nieprzystępnie. Powoli wodził po niej wzrokiem, zatrzymując się krótko na mokrej od łez twarzy. Czuła, że się czerwieni.

- Co? - zapytała ironicznie. - Twoja odznaka daje ci prawo wpaść bez zapowiedzi do pokoju damy?

- Kiedy ta dama jest w posiadaniu skradzionej broni, mam do tego prawo - mruknął. - Co się, do diabła, dzieje, Maddie? Czemu taka dziewczyna jak ty ucieka się do kradzieży, porwania, faszzerowania prochami i ryzykowanej gry w kasynie? Powiedz, proszę, bo ja nie pojmuję.

Szedł dalej naprzód, a ona wciąż się cofała.

- Przynajmniej się odwróć i pozwól mi się ubrać.

- Mow nie ma, kochanie. Nie spuszczę cię z oczu.

Jego spojrzenie było zimne i wyzywające. Wiedziała, że nie ma wyboru. Patrząc mu w oczy, wypuściła z rąk poduszkę i sięgnęła po dzinsy. Colton zacisnął wargi. Zdawało jej się, że jego jabłko Adama się poruszyło.

Nerwowo wciągnęła dzinsy. Kiedy poczuła jego wzrok na piersiach, wyprostowała się i nie zapinając dzinsów, chwyciła z łóżka T-shirt i włożyła go przez głowę.

- Co teraz? - spytała kąśliwie, wsuwając stopy w tenisówki i zapinając spodnie. - Zaciągniesz mnie na komisariat i wsadzisz do więzienia? - Rzuciła mu oskarżycielskie spojrzenie. - Nie wystarczy ci, że straciłam wygraną? To była moja jedyna szansa, żeby wszystko naprawić, a ty ją zrujnowałeś. - Głos jej się załamał.

- Bzdura - rzucił oschle. - Oszukiwałaś. Gdybym się nie wtrącił, leżałabyś teraz na podłodze z rozłożonymi rękami i nogami i błagałabyś tych goryli, żeby wzięli twoje pieniądze i pozwolili ci odejść.

Widziała jego napięte mięśnie, zaciśnięte zęby, błysk w oczach. Zadrżała.

- Do tej pory jakoś dawałam sobie bez ciebie radę. - Nawet w jej uszach brzmiało to nieprzekonująco.

Colton prychnął.

- Taa. Więc gdzie, do diabła, nauczyłaś się liczyć karty, co?

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Ojciec mnie nauczył, jak byłam mała.

- Musiałaś mieć fajne dzieciństwo. Po co ci tyle kasy? Jakaś jej część chciała mu wszystko wyznać, powiedzieć o strachu, o tym, co może spotkać brata, jeśli w ciągu paru następnych dni nie zdobędzie pięćdziesięciu tysięcy. Ale inna część bała się, że mógłby zrujnować szanse brata na przeżycie. Gdyby porywacze choć przez moment podejrzewali, że powiadomiła policję, zabiliby Jamiego.

Zatem zamiast odpowiedzieć, objęła się ramionami i patrzyła przez okno. Colton przetarł oczy.

- Daj spokój - rzekł. - Wyjdźmy z tej nory.

Kiedy próbował wziąć ją za rękę, gwałtownie się wyrwała.

- Nie dotykaj mnie.

Gdyby jej dotknął, mogłaby się złamać, wypłakać na jego szerokiej piersi. A teraz najbardziej potrzebowała siły i jasności umysłu. Musi zdobyć pieniądze i skontaktować się z porywaczami, i to prędko. Czas uciekał.

Zobaczyła zaciśnięte wargi Coltona. Z westchnieniem irytacji wziął z łóżka jej plecak i otworzył drzwi, wypychając ją na korytarz.

Kiedy wsiedli do samochodu, uruchomił silnik, a potem na nią popatrzył. Wiedziała, że tusz jej się rozmazał, a elegancka fryzura to już przeszłość.

- Wyglądasz na zmęczoną - stwierdził. - Zawiozę cię gdzieś, gdzie będziesz mogła wziąć prysznic i zjeść porządny posiłek, a potem pogadamy. - Uniósł brwi, jakby oczekiwał jej protestów.

Skinęła głową. Brakowało jej energii na kłótnie. Była wyczerpana i głodna. Od minionej nocy, gdy zjadła z Coltonem kanapkę z szynką, nie miała nic w ustach. Gorący prysznic i ciepły posiłek - to brzmi jak raj. Potem będzie miała dość czasu na ucieczkę.

Chciał ją udusić. Albo pocałować. Był wściekły na Maddie i na to, że budzi w nim pożądanie, choć wiedział, że jest oszustką. Chryste!

Nie mógł zapomnieć, jak w pokoju w motelu stała prawie naga i wyzywająca. Miała piękne piersi, okrągłe i jędrne. Wciąż czuł jej wargi na swoich. Być może w domu dziadka pocałowała go z jakiegoś ukrytego powodu, ale nawet otumaniony lekiem nasennym rozpoznał jej nieudawane pożądanie.

Teraz siedziała milcząca i nieszczęśliwa. Patrzyła przez okno, przygryzając wargę. Jechali w ciszy aż do hotelu w centrum Reno. Colton zapłacił portierowi za zaparkowanie samochodu. Nadal wybierał się na wakacje i nie chciał, by ktoś skradł mu zapasy.

Zarzucił na ramię plecak Maddie i wziął ją za łokieć, drugą ręką sięgnął po swój worek. Wybrał apartament z niedużym salonikiem i kącikiem jadalnym. Otworzył drzwi i rzucił bagaż na kanapę.

- Weź prysznic, a ja zamówię coś do jedzenia.

Zamknęła się w łazience. Colton czekał, aż usłyszy szum wody, a potem zamówił kolację. Zdjął kurtkę i powiesił ją na oparciu kanapy. Jego wzrok padł na plecak Maddie. Bez wahania otworzył go i przeszukał. Gdy znalazł swój rewolwer, sprawdził magazynek - siedem kul wciąż tam było. Włożył broń do worka i wrócił do plecaka. Znow zaczął w nim grzebać, przesunął na bok buty i ubranie, aż na dnie natknął się na małą torebkę. Nie miał ochoty wściubić nosa w prywatne sprawy Maddie, ale liczył, że znajdzie wyjaśnienie jej postępowania.

Otworzył torebkę i wyjął portfel. Na spodzie leżała szminka i szczotka do włosów oraz srebrne etui na wizytówki. Wyjął jedną i pod nazwiskiem Maddie przeczytał: Biegły Księgowy. Jest księgową? Zdumiało go to, a jednocześnie rozbawiło. Role chłopczycy i femme fatale lepiej do niej pasowały.

Odłożył na miejsce wizytówkę i na dnie torebki dojrzał złożony świstek papieru. Wyciągnął go i przeczytał: Oddaj pieniądze albo pochowasz brata.

Nie zdziwił się ani nie przeżył szoku. Zamiast tego ogarnęła go ulga. Włożył wszystko z powrotem do torebki, spakował plecak i podszedł do okien, niewidzącym wzrokiem patrząc na ulicę poniżej. Nareszcie poznał motywy działania Maddie.

Ktoś wykorzystywał jej brata, by wyciągnąć od niej pieniądze. Z tym sobie poradzi. Nie wiedział, jak by się czuł, gdyby odkrył, że Maddie na przykład handluje narkotykami. Dość, że go uspiła lekami nasennymi i ukradła jego samochód oraz rewolwer.

Nie miał pojęcia, kto jej grozi, ale znał takich ludzi. Wiedział o prowadzonym właśnie w Reno i Las Vegas śledztwie dotyczącym hazardu, lichwiarstwa i wyłudzeń.

Wyjął komórkę i wybrał numer Jasona Coopera. Szef odezwał się po pierwszym sygnale.

- Powiedz mi, że ją masz, Black.

- Mam.

- To dobrze - odparł Cooper. - Zawieź ją do biura szeryfa Reno. Od tej pory oni się nią zajmą.

Colton milczał. P dłuższej chwili Cooper prychnął zirytowany.

- Jakiś problem, Black?

- Tu chodzi o większą sprawę. Znalazłem dowód, że jej brat jest przetrzymywany dla okupu. - Zerknął na drzwi łazienki. - A jeśli stoją za tym Canterinowie?

Rodzina Canterinów kierowała grupą przestępczą, która działała w Nowym Jorku, Las Vegas, Reno, a nawet w Kostaryce. Gang był podejrzewany o udzielanie lichwiarskich pożyczek. Czasami odbiór długu przyjmował formę pozbawienia dłużnika jakiejś części ciała, zwykle palca lub ucha. Niestety ofiary nie chciały rozmawiać z policją, wiedząc, że jeśli Canterinowie się o tym dowiedzą, mogą stracić życie.

- Instynkt mi mówi, że dziewczyna wdepnęła w coś paskudnego i musimy pozwolić, by gra toczyła się dalej. To może być nasza szansa na zdobycie mocnych dowodów przeciw Canterinom - ciągnął Colton.

- Sprawdziłem tę Howe - odrzekł Cooper. - Choć jest czysta, nie można powiedzieć tego samego o jej krewnych. Pochodzi z rodziny hazardzistów i oszustów. Nie zdziwiłbym się, gdyby jej brat pożyczył pieniądze od Canterinów. Ma kartotekę jako młodociany za nielegalny hazard. Przywieź ją, a obiecuję, że zacznę mówić.

W głosie Coopera Colton słyszał groźbę. Cooper na pozór wydawał się twardy, ale Colton znał go już dość długo i wiedział, że nie skrzywdziłby Maddie.

- Jeśli zawiozę ją teraz do szeryfa, zamilknie na dobre - rzekł cicho. - Moim zdaniem nie powinniśmy interweniować, musimy dowiedzieć się, kim są wyłudzacze. Założę się, że doprowadzi nas do Canterinów. Jej brat ma większą szansę wyjść z tego cały, jeśli nie będziemy interweniować. Ale jeśli nie wykorzystamy tej okazji, będą kolejne ofiary.

- Przyślij mi wszystko, co masz. Skontaktuję się z zastępcą Burnsem w Reno i coś postanowimy. Będę w kontakcie.

Rozłączywszy się, Colton spojrział na łazienkę, gdzie już ucichła woda. Myśl o konfrontacji Madeleine z gangiem Canterinów zmroziła mu krew. Jeśli jej brat popełnił błąd i pożyczył od nich pieniądze, jego życie było zagrożone. Madeleine nie miała pojęcia, jacy to bezwzględni dranie.

Mógł jej pomóc, zapewnić bezpieczeństwo. Czy nadal był wkurzony, że go wykorzystywała? O tak. Świadomość, co ją doprowadziło do tak desperackich czynów, wkurzała go jeszcze bardziej.

Na dźwięk otwieranych drzwi łazienki odwrócił się. Madeleine stała z mokrymi włosami, w białym szlafroku frotte. Wyglądała świeżo, a co za tym idzie młodziej i niewinniej. Spojrzała na niego i weszła do pokoju.

- Co teraz? - zapytała.

Stała tak, by dzieliła ich kanapa. Pukanie do drzwi uwolniło Coltona od konieczności odpowiedzi.

- To pewnie obsługa. Czyli teraz będziemy jeść.

Za drzwiami stał kelner. Colton podpisał rachunek, wwiózł do pokoju wózek i zamknął drzwi. Maddie usiadła i patrzyła, gdy stawiał na stole naczynia. Nie wiedział, na co miałaby ochotę, więc zamówił steki z pieczonymi ziemniakami i sałatę.

- Zjedz wszystko - rzekł, siadając naprzeciwko.

Z nieskrywanym zapalem zabrała się do jedzenia. Przez chwilę tylko na nią patrzył. Podniosła na niego wzrok, jakby zdała sobie sprawę ze swych złych manier, odłożyła widelec i się skrzywiła.

- Przepraszam. Nie wiedziałam, że jestem tak głodna.

- Nie przepraszaj. - Odkroił kawałek steku. - Z przyjemnością patrzę na kobietę, która je ze smakiem.

Wzięła znów do ręki sztucce. Jedli w milczeniu, choć Madeleine na niego zerknęła. On zaś był niepokojąco świadomy jej bliskości. Kilka razy poprawiła szlafrok, kiedy poły za bardzo się rozsuwały. Colton sądził, że pod szlafrokiem jest naga i nie mógł się skoncentrować na jedzeniu. Wreszcie odsunęła talerz i oparła się zadowolona, zapominając o szlafroku, który tym razem odsłonił uda.

- Pyszne - stwierdziła z uśmiechem.

Gwałtownie wstał od stołu i odstawił talerze na wózek. Gdy się odwrócił, Maddie bacznie mu się przypatrywała. Schnące włosy układały się w miękkie fale wokół jej twarzy. Marzył o tym, by rozwiązać pasek szlafroka i dotknąć jej satynowej skóry. Chciał usłyszeć, jak pod wpływem pożądania zmienia się jej oddech, patrzeć, jak ciemnieją jej oczy. Zirytowany tymi myślami musiał odwrócić od nich uwagę, więc zapytał ostro:

- Kto wyłudza od ciebie pieniądze?

Przestraszona szeroko otworzyła oczy, ale szybko się opanowała i udała, że nie wie, o co chodzi.

- O czym ty mówisz?

- To proste pytanie, Madeleine. Kto grozi, że skrzywdzi twojego brata, jeśli nie dasz mu pieniędzy?

Poderwała się na nogi i przeniosła wzrok na swój plecak, który wciąż leżał na stoliku przy drzwiach.

- Szperałeś w moich rzeczach. - Głos jej drżał ze złości i niedowierzania. - Jak śmiałeś?

- Czy twój brat pożyczył pieniądze od lichwiarzy?

Jej oczy płonęły oburzeniem.

- Nie miałeś prawa grzebać w moich rzeczach.

- Zadałem ci pytanie. Kto przetrzymuje twój brata?

- Nie twój interes. Sama się tym zajmę, jeśli mi tylko pozwolisz.

Wyglądała, jakby szykowała się do walki albo do ucieczki. W życiu nie był tak zirytowany. Pragnął jej pomóc, ale jakaś jego część chciała też ją skrzywdzić, tylko trochę, za to piekło, w które go wpakowała. Za to, że tak jej pragnął.

Jej oddech przyspieszył, piersi unosiły się rytmicznie. Węzeł paska się rozluźnił.

- Naprawdę? - spytał z ironią. - Sama się tym zajmiesz? Ile żądają? Jak zamierzasz im zapłacić? Przecież nie masz pieniędzy. - Wiedział, że zachowa się jak gbur, mimo to wskazał na jej dekolt. - A może planujesz inny sposób zapłaty?

Z błyskiem w oczach zamachnęła się na niego. Colton bez trudu chwycił ją za rękę.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Jej policzki były czerwone, dosłownie zabijała go spojrzeniem. Ledwie nad sobą panował, ale gdy jej wzrok powędrował na jego wargi, znów sobie przypomniał, jak na nim usiadła i go całowała. Przyciągnął ją do siebie i rozgniół jej wargi pocałunkiem.

Na sekundę zeszywniała, ale potem oddała mu pocałunek z namiętnością, która go zszokowała. Miał wrażenie, że ręce Maddie są wszędzie, na jego ramionach i plecach, na karku. Resztką siły woli odsunął się od niej, ujął jej twarz w dłonie i spojrzał w oczy.

- Madeleine...

- Proszę. - Położyła palce na jego wargach. - Nie mów. Całuj mnie. Wiem, że tego chcesz.

Owszem, chciał. Bardziej niż czegokolwiek innego na świecie. Wiedział, że wykorzystuje sytuację, lecz nie mógł się powstrzymać. Pochylił głowę i znów ją całował. Nie był jednak przygotowany na te dźwięki rozkoszy, które wypełniały mu uszy, ani na palce, które rozpinały mu koszulę tak szybko, że omal nie odrywały guzików.

- Maddie, nie musimy się spieszyć.

- Ja muszę - odparła zdyszana i mokrymi pocałunkami obsypywała jego twarz i szyję. - Nie chcę czekać.

Wyciągnęła mu koszulę ze spodni i zsunęła ją z ramion. Wsunął palce w jej wilgotne włosy. Ona zabrała się za jego rozporek, a dotknięcie jej palców na brzuchu kazało mu wstrzymać oddech.

- Kochanie...

- Proszę - szeptała zniecierpliwiona. - Pragnę cię. Był zgubiony.

- Dobrze - rzekł między pocałunkami. - Chcę tylko, żebyś mi ufała.

- Ufam ci - zapewniła, wsuwając palce za gumkę bokserek.

Colton przesunął wargami po jej szyi i zatrzymał się w miejscu, gdzie wyczuł przyspieszony puls.

- Nie musisz uciekać. Ja cię nie skrzywdzę.

Przytaknęła jakimś nieartykułowanym dźwiękiem.

Colton zsunął z ramienia jej szlafrok i wyciskał namiętne pocałunki na gładkiej skórze, wdychając jej zapach.

- Jesteś taka piękna - mruknął. - Pozwól, że ci pomogę.

- W porządku. - Odchyliła głowę, zaciskając palce na jego członku. - Zapłacę swoim ciałem, tobie czy szantażystom, jeśli tylko dzięki temu odzyskam brata.

Jej słowa podziały na Coltona jak zimny prysznic. Powoli chwycił ją za nadgarstek i oderwał od siebie jej dłoń, choć wciąż był podniecony. Potem ujął ją za ramiona, odsunął się i spojrzał jej w oczy. Madeleine odrzuciła do tyłu włosy i patrzyła na niego wyzywająco. Tym razem nie próbowała zasłonić piersi. Wargi miała lekko rozchylone, oddychała nierówno.

Patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Jezu - odezwał się w końcu i odepchnął ją. - Myślałaś, że cię wykorzystuję? Jeśli tak sądzisz, to nic o mnie nie wiesz.

- Ty też nic o mnie nie wiesz - odparowała. - I niech tak pozostanie.

Poprawił jej szlafrok.

- Droga damo, wystarczy jeden telefon, żebym poznał wszystkie szczegóły twojego życia, od ocen w szkole do informacji, kiedy straciłaś dziewictwo.

Zaczerwieniła się, ale wysoko trzymała głowę.

- Może, ale i tak mnie nie poznasz. - Jej głos lekko drżał.

Zdał sobie sprawę, że chciał ją poznać. Chciał wiedzieć, jak wpakowała się w tę rozpaczliwą sytuację. Chciał o niej wiedzieć wszystko, od największych lęków po najdziwsze marzenia. Ale przede wszystkim chciał, by mu zaufała. Miała w sobie coś, co go przyciągało, i to poza zgrabnym ciałem czy namiętymi pocałunkami. Podobała mu się jej odwaga i determinacja, by pomóc bratu. Zrobiłaby wszystko, by chronić najbliższych. Podziwiał jej lojalność i pomysłowość. Pokonała w życiu tyle przeciwności.

Westchnął, nagle poczuł znużenie i przetaił oczy.

- Robi się późno, powinniśmy się przespać.

- Dobrze. - Ruszyła znów do sypialni.

Gdy ze złością próbowała zatrzaskać mu drzwi przed nosem, wsunął nogę za próg.

- O nie, kochana - rzekł z uśmiechem. - Żeby mieć pewność, że znów nie spróbujesz zniknąć... - Uniósł rękę z kajdankami, tymi samymi, którymi przypięła go do kanapy zeszłej nocy.

- Nie zrobisz tego.

- Ależ zrobię - rzekł przesłodzonym głosem.

Nadal trzymając nogę w drzwiach, zdjął koszulę i rzucił ją na podłogę. Kiedy pchnął drzwi i zrzucił buty, próbowała się wymknąć. Colton złapał ją za rękę. Dopiero gdy przypiął ją do siebie kajdankami, zrozumiała, że to nie żarty.

- Och, nie - zaprotestowała, usiłując się wyrwać. - A jeśli w nocy będę musiała skorzystać z toalety?

- Mam lekki sen, chętnie ci potowarzyszę - odparł gładko. - Obiecuję, że nie będę patrzeć.

- To oburzające - syknęła.

- Tak? A wczoraj to nie było oburzające? - Wolną ręką wyjął portfel i schował do niego kluczyk do kajdanek. - Idziemy spać. Nie wiem jak ty, ale ja od dwóch dni nie spałem.

Musiał przyznać, że wyglądała na skruszoną.

- Przepraszam, że cię uśpiłam, i przepraszam, że wzięłam twój samochód, ale teraz rozumiesz, jaka byłam zdesperowana, i może mi wybaczysz. - Posłała mu lekki uśmiech. - Naprawdę możesz mi ufać. Nie będę kombinować, obiecuję.

Prychnął z niedowierzaniem i ruszył do łóżka.

- Wybacz, kochanie, ale ja tego nie kupuję.

W dzinsach i skarpetkach położył się na materacu, a Maddie nie miała wyboru i zrobiła to samo. Mocniej związała pasek szlafroka i posyłając Coltonowi niezadowolone spojrzenie, położyła się możliwie najdalej.

Colton rzucił portfel na podłogę obok łóżka, gdzie nie mogła sięgnąć. Bez słowa przykrył ich kocami i wyłączył lampkę. Leżeli obok siebie w ciemności, złączeni kajdankami.

- Nie zapomnij, że jestem do ciebie przypięta. Nie odsuwaj się za bardzo - rzekła oschle. - Nie mam ochoty budzić się na twojej piersi.

Nie odpowiedział, ale obrazy, jakie wywołały jej słowa, sprawiły, że przez długie godziny nie mógł zasnąć. Słuchał jej oddechu i wiedział, kiedy zapadła w sen. Musnęła palcami jego palce, jakby podświadomie szukała kontaktu, i przysunęła się do niego, aż poczuł jej oddech na ramieniu. Czuł jej ciepło. Zakrył oczy wolną ręką. Wiedział, że to będzie długa noc.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy otworzyła oczy, przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Czuła ciepło, słyszała jakiś rytmiczny dźwięk. Powoli do niej dotarło, że leży z głową na nagiej piersi Coltona, z ręką przerzuconą przez jego ciało, a ich złęczone kajdankami ręce spoczywają między nimi. Colton oddychał równo i gęboko. Leżała nieruchomo, słuchając jego serca. Gdyby się obudził, pewnie by ją odsunął, a choć nie chciała tego przyznać, ta pozycja jej odpowiadała. Czuła się bezpieczna.

Przypomniała sobie, jak bardzo ją podniecały jego pocałunki. Może celowo chciała go uwieść, by zdobyć nam nim przewagę. Ten facet umiał całować, a kiedy ujęła jego członek, zapomniała o całym świecie. Myślała tylko o tym, jak bardzo go pragnie. On zaś, honorowy do końca, upierał się, że powinna mu zaufać. Maddie nie chciała go angażować w swoje sprawy, wciągać w swoje popaprane życie. Pragnęła się w nim zatracić, choćby na krótko, zapomnieć o wszystkim poza rozkoszą, jaką mogli sobie dać. Czy zamierzała go wykorzystać? O tak, ale nie w sposób, o jakim mówił.

Gdy jej oczy przywykły do ciemności, widziała zarys jego twarzy. Oparł brodę na jej włosach. Nie wiedziała, kiedy zrzucili koce. Poza ciemnym zarostem ciągnącym się od pępka w dół skóra Coltona była gładka, ciemna. Ostrożnie dotknęła jego sutka, z fascynacją patrząc, jak się pręży. Colton ani drgnął. Zachęcona tym przesuwiała palcami po jego ciepłym brzuchu. Poruszył się lekko i mruknął przez sen, ale się nie obudził.

Teraz chciała, by się obudził, żeby mogła poczuć jego energię i siłę. Dotąd nie spotkała takiego mężczyzny jak on.

Honorowego. Kompetentnego. Seksownego jak diabli.

Kiedy ten koszmar dobiegnie końca, nikogo takiego już nie spotka. Tak bezpiecznie czuła się w jego objęciach. Przypomniała sobie chwile spędzone w domu dziadka. I jak mu się odwdzięczyła? Usypiając go i przypinając kajdankami do kanapy oraz kradnąc mu samochód. Pewnie od lat nie miał normalnych wakacji, a ona je zrujnowała.

Teraz mogła mu to wynagrodzić. Powiedziała sobie, że robi to dla niego, ale w duchu wiedziała, że chce kochać się z Coltonem. Chciała wiedzieć, jak to jest mieć go w sobie i patrzeć na jego twarz, gdy nad sobą nie panuje. Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio była z kimś, z kim czułaby się tak jak z Coltonem.

Powoli przycisnęła wargi do jego piersi i go pogłaskała wolną ręką. Colton westchnął, a potem się przeciągnął jak duży kot. Jeszcze bardziej się przysunęła, wciąż go głaskała i całowała. Jego oddech zmienił rytm. Unosząc głowę, zobaczyła, że na nią patrzy.

Ich ręce wciąż były połączone. Unosząc się na łokciu, językiem delikatnie rozchyliła usta Coltona. Przez chwilę leżał nieruchomo, pozwolił działać jej zmysłowym wargom. Potem uniósł wolną rękę, by zatopić ją w jej włosach i oddał jej pocałunek.

Zaskoczył ją, przygniatając swoim ciężarem, i położył za jej głową ich złęczone ręce. Zawisł nad nią w mroku. Drżała z oczekiwania, nie wiedziała, co dalej.

- Kochanie - odezwał się schrypniętym głosem - co robisz?

Pogłaskała jego brodę ze śladem zarostu.

- A jak myślisz? Proszę, Colton... - Podkreśliła swoje słowa, wypychając do góry biodra, by nie miał wątpliwości.

- To szaleństwo - mruknął, opuścił głowę i zaczął ją całować tak gorąco, że zdawało się jej, iż się rozplynie.

Wolną ręką objęła go za szyję i zgięła nogi w kolanach, by zamknąć go w kołysce ud. Pod szlafrokiem była prawie naga. Colton jednym ruchem rozchylił poły szlafroka i chwycił jej pierś. Rękę miał dużą i szorstką, w dole brzucha poczuła pulsowanie.

Oderwał wargi od jej ust i przeniósł je na szyję.

- Proszę - szepnęła.

- Zaraz, skarbie. - Wziął do ust jej sutek.

Maddie słyszała własny głos, jakby skomlenie, mocno trzymała go za głowę, by nie przestawał.

Czuła jego podniecenie. Otarła się o niego. Ku jej rozczerowaniu Colton przesunął się w dół jej ciała, znacząc drogę wargami. Kiedy położył dłonie na jej kolanach i rozchylił jej nogi, wstrzymała oddech.

- Colton...

- Cii.

Poczuła jego oddech. Unosząc głowę, między swoimi udami Maddie widziała ciemny kształt. Colton wciąż trzymał dłonie na jej kolanach. Zacisnęła palce na jego nadgarstku. Nie wiedziała, czy chce go powstrzymać, czy zachęcić. Przesuwał dłońią po wewnętrznej stronie jej ud, ciągnąc za sobą jej rękę. Odsunął na bok jedwabne stringi i pieścił ją, rozpalając w niej ogień. Kiedy wysunął język, głowa Maddie opadła na poduszki.

- Lubisz to?

Tylko ścisnęła jego palce. Chwilę potem omal nie spadła z łóżka. Język Coltona krążył tak nieubłaganie, że wiła się pod nim jak szalona. Zdawało się, że znał jej ciało lepiej niż ona sama. Potem wsunął w nią palec. Maddie się na nim zacisnęła, a gdy zaczął wsuwać się i wysuwać, w tym samym rytmie poruszała biodrami.

- Nie wytrzymam - wydusiła.

Colton wsunął w nią drugi palec. Krzyknęła, skurcze sprawiły jej rozkosz, jakiej dotąd nie doświadczyła. Wydawało się, że tego nie przeżyje, lecz Colton nie ustawał, aż wydobył z niej ostatnie drżenie.

Odepchnęła jego głowę. Zamiast umościć się między jej nogami, by dokończyć to, co zaczął, Colton położył się na plecach. Ich złączone ręce znalazły się między nimi. Maddie wyczuła, bo tego nie widziała, że zakrył twarz. W ciemności jedynym dźwiękiem był ich urywany oddech. Wiedziała, że wciąż był podniecony, ale nie odwrócił się do niej, nie dał znaku, że chce kontynuować. Maddie uniosła się na łokciu.

Niezależnie od niezmiernego orgazmu, jaki jej zafundował, nadal go pragnęła. Chciała go w sobie poczuć, dać mu to samo niewiarygodne spełnienie, jakie on właśnie jej ofiarował.

Ostrożnie dotknęła jego ramienia.

- Colton...

- Śpij, Madeleine - odparł zmęczonym głosem.

Przez chwilę leżał nieruchomo, później przesunął się na skraj łóżka i sięgnął po swój portfel. Zaraz potem uwolnił się z kajdanek, przypinając Maddie do zagłówka. Nie zdążyła nawet zaprotestować. Colton wstał z łóżka i poszedł do łazienki. W drzwiach przez moment widziała jego sylwetkę, gdy zapalił światło, później zamknął drzwi, zostawiając ją w ciemności.

Pociągnęła za kajdanki, ale trzymały mocno. Zabolało ją, że nadal jej nie ufał, choć musiała przyznać, że nie dała mu powodu, by zachował się inaczej. Mając okazję do ucieczki, na pewno by z niej skorzystała. Nawet o tej porze wymknęłyby się, by szukać brata.

Z łazienki dobiegł szum wody. Wyobraziła sobie Coltona pod prysznicem, wciąż podnieconego i bez wątplenia wściekłego z tego powodu. Nadal czuła jego dotyk. Pragnął jej, była tego pewna. Czemu zatem przerażał? Czy uważał, że naraża swój autorytet, czy gdzieś w duchu jednak go odpychała?

Szum wody ucichł, kilka chwil później otworzyły się drzwi łazienki. Zanim Colton zgasił światło, świetnie go widziała. Owinął się ręcznikiem wokół bioder. Gdy wrócił do łóżka, pochylił się i chwycił ją za nadgarstek.

Poczuła, że odpina jej kajdanki. Krople wody z jego włosów spadły na jej skórę. Pachniał czystością, jego świeży oddech musnął jej policzek.

Wyprostował się i stał obok łóżka, a Maddie się zastanawiała, jak dobrze ją widzi. Zasłoniła się szlafrokiem.

- Będę w sąsiednim pokoju - oznajmił. - Niech ci nie przyjdzie do głowy się stąd wymknąć, bo nie będę spał.

Nie czekając na odpowiedź, wyszedł z sypialni, zamykając drzwi. Pomasowała nadgarstek, a potem przykryła się kocem. Skuliła się na boku i słuchała, jak Colton krąży po pokoju. Czuła się mała i żałosa. Wiedząc, że z tysiąca powodów nie powinna się zadawać z Coltonem Blackiem, poczuła się odrzucona.

Poprawiła poduszkę. Zastanowiła się, czy poczucie bezpieczeństwa, jakie w niej budził, nie było tylko złudzeniem. Powiedział, że może mu ufać, ale wiedziała swoje. Nikomu nie ufała. Gorzkie doświadczenie pokazało jej, że tylko sobie można ufać, jednak po raz pierwszy w życiu ta świadomość pograżyła ją w beznadziejnym smutku.

W pokoju obok Colton wyjął z worka czyste ubrania, zdjął ręcznik i włożył bokserki oraz dzinsy. Choć wzięty prysznic, wciąż był podniecony i obolały.

Boso i bez koszuli usiadł na kanapie i potarł twarz. Wiedział, że jest bez szans. Tylko siłą woli zostawił Madeleine samą. Pragnął zatonać w jej słodkim ciele, ale niech go szlag, jeśli pozwoli, by go oskarżyła, że ją wykorzystał. Kiedy w końcu będzie się z nią kochał, stanie się to, gdy nie będzie między nimi żadnych sekretów. Madeleine musi zaufać mu bezwarunkowo.

Ciężko westchnął, wstał i wziął ze stołu smartfona. Sprawdził wiadomości: Jason Cooper wysłał mu raport na temat Madeleine. Otworzył dokument i go przejrzał.

Jej matka zmarła na raka, kiedy Maddie miała dziesięć lat, zostawiła córkę i dwuletniego syna pod opieką ojca, nałogowego hazardzisty. James Howe miał swoją policyjną kartotekę, był notowany głównie za burdy związane z przegranymi w kasynach. Miał zakaz wstępu do większości domów gry w Reno i Vegas, a

jego śmierć siedemnaście lat później uznano za samobójstwo. W chwili gdy do niej doszło, Madeleine miała dwanaście lat. Wraz z bratem znalazła się pod opieką dziadka, który ich wychowywał w domu w górach.

Dziadek także borykał się z problemami związanymi z hazardem i alkoholem, choć wydawało się, że gdy wnuki się do niego wprowadziły, próbował wrócić na prostą drogę. Jakimś cudem dopilnował, by Madeleine poszła do college'u i ustanowił niewielki fundusz powierniczy na edukację jej brata. Ale życie, jakie prowadził, w końcu dało mu się we znaki, i dwa lata temu zmarł z powodu marskości wątroby w domu opieki w Elko.

Colton zamknął dokument i odłożył telefon. Otworzywszy portfel, wyjął zdjęcie Madeleine i jej brata siedzących na schodkach domu. Próbował sobie wyobrazić jej życie, stratę rodziców i mieszkanie ze starym alkoholikiem.

Jak to go nazwał Zeke? Utracjuszem. Nie najlepszy wzór dla dzieci. Colton wierzył, że Madeleine wyciągała pieniądze od turystów, bo nie miała wyboru, jeśli chciała opiekować się bratem.

Pomyślał o swoich dwóch młodszych braciach. Obaj byli jeszcze nastolatkami. Nigdy nie musiał się o nich martwić, wiedział, że są kochani i niczego im nie brak. Choć rodzice nie zalegalizowali swojego związku, Colton nie wątpił w ich rodzicielską miłość.

Mówiąc delikatnie, odebrał dość nieortodoksyjne wychowanie. Ojciec był studentem Uniwersytetu Stanforda, kiedy pewnego lata spędzał wakacje, pracując w rezerwacie Szoszonów obok Paradise Valley. Związał się z młodą Szoszonką. Ich krótki romans skończył się wraz z powrotem ojca do Kalifornii, ale wtedy matka była już w ciąży. Ojciec chciał ją poślubić, lecz matka, bardziej pragmatyczna, twierdziła, że osobno będą szczęśliwsi. Miała rację, a choć się nie pobrali, pozostali z sobą blisko.

Tak więc Colton dorastał w dwóch światach. W ciągu roku szkolnego mieszkał z ojcem w Monterey, wakacje spędzał z matką w rezerwacie. Kiedy skończył osiem lat, matka wyszła za mąż za ranczera i przenieśli się do Pyramid Lake, jakieś trzy godziny drogi na północ od Reno. Choć rodzina się powiększyła, nigdy nie czuł się outsiderem, był u siebie tak samo na ranczu matki, jak w willi ojca nad morzem.

Miał też dwóch najlepszych przyjaciół - Aiden Crossa, kumpla ze szkoły w Monterey, który służył teraz w siłach specjalnych amerykańskiej marynarki, i Siyotę Rączego Konia, policjanta z rezerwatu. Colton uważał to za ironię, że on i Siyota wybrali pracę w policji, zważywszy, że jako chłopcy głównie rozrabiali.

W westchnieniu wyciągnął się na kanapie i poprawił poduszkę. Czuł miły chłód klimatyzacji. Myślał o Madeleine leżącej w sąsiednim pokoju i o tym, jak ją obejmował. Jak pachniała i smakowała.

Przypomnił sobie wydawane przez nią dźwięki, gdy jego dłonie i wargi doprowadziły ją do orgazmu. Był wykończony, lecz wiedział, że nie zaśnie.

Musi wymyślić plan uwolnienia brata Madeleine bez narażania jej na niebezpieczeństwo. Wyjął z kieszeni mały klucz, który wyciągnął z puszek w domu w górach, i dokładnie go obejrzał. Widział wiele podobnych kluczyków, wiedział, że to kluczyk od skrytki bankowej. Mógł sobie tylko wyobrażać, co trzymał w niej dziadek Maddie. Ona nawet nie spojrzała na kluczyk, gdy przeglądała zawartość puszek, więc zapewne dziadek nie podzielił się z nią tą informacją. Włożył kluczyk do kieszeni, postanawiając znaleźć bank i skrytkę, do której pasuje kluczyk.

Wiedział, że Cooper mu pomoże, a Aiden właśnie przyjechał z Afganistanu na trzytygodniowy urlop. Jako żołnierz sił specjalnych miał doświadczenie w uwalnianiu zakładników. Obaj mężczyźni byli w Kalifornii i w ciągu paru godzin mogli przyjechać do Reno. W głowie Coltona powoli rodził się plan. Będzie potrzebował więcej rąk do pomocy. On i dwaj przyjaciele nie wystarczą.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Dokąd jedziemy?

Nawet nie zerknął na Maddie, skupiony na prowadzeniu.

- Tam, gdzie jest bezpiecznie.

Tego ranka obudził ją wcześniej, zapalił nocne lampki i oznajmił szorstko, że za pół godziny chce być w drodze. Potem wrócił do drugiego pokoju, nim Maddie w pełni oprzytomniała.

Ubierając się w pośpiechu, zastanawiała się z niepokojem, czy Colton wspomni o minionej nocy. Czy żałuje tego, co robili? Czy starczy jej odwagi, by spojrzeć mu w twarz? Kiedy w końcu weszła do saloniku, Colton pakował rzeczy i wskazał na stół, gdzie czekało śniadanie. Maddie spojrzała na jego nakrycie. Wyglądało na to, że nie miał apetytu.

Skubnęła omlet oraz owoce i wypila dwie filiżanki mocnej kawy, gdy oznajmił, że wyjeżdżają. Była więcej niż przerażona jego zachowaniem, a jednocześnie tak skrępowana, że nie śmiała spojrzeć mu w oczy. Był chłodny i zdystansowany. Mogłaby pomyśleć, że wydarzenia minionej nocy to wytwór jej wyobraźni.

Jednak chociaż o nich nie rozmawiali, to, co się stało, zostawiło ślad. Colton unikał kontaktu fizycznego. Uznała, że tak jest lepiej, ale ilekroć na niego zerknęła, przypominała sobie jego dłonie na swoim ciele.

Na dworze było jeszcze ciemno. W pierwszej chwili obawiała się, że pojedą na policję, jednak Colton opuścił miasto i skręcił na autostradę numer 80. Próbowwała zgadnąć, dokąd ją zabiera, ale mogła jedynie stwierdzić, że jadą na północ. Oddalają się od Reno.

Oddalają się od jej brata.

- Nie musisz się mną opiekować - rzekła cicho. - Poradzę sobie pod warunkiem, że zostawisz mnie w Reno.

- Tam go przetrzymują? Twojego brata?

Zawahała się, nie chciała mu niczego zdradzać. Bała się, że policja się w to włączy, a wtedy porywacze zabiją Jamiego.

- W tej chwili jestem twoją największą szansą na uratowanie brata - odparł z nutką zniecierpliwienia.

- Przez ciebie może zginąć.

- Nie zginie, jeśli mi wszystko powiesz. - Spojrzał na nią. - Wydostaniemy twojego brata z rąk oprawców, ale musisz ze mną porozmawiać, Madeleine.

Patrzyła przez okno. On znów to robi. Próbuje ją przekonać, by mu zaufała. Nie miała powodu, żeby mu nie ufać. Choć go okradła, nie zaciągnął jej na komisariat.

Minionej nocy, kiedy się kochali, skupił się na jej przyjemności, sam pewnie niewiele z tego miał. Gdy ją zostawił, poczuła się odrzucona, a teraz zastanawiała się, czy przypadkiem to nie poczucie honoru kazało mu się wycofać.

- Okej, zacznijmy od tego, co już wiem - zasugerował. - Twój brat ma na imię Jamie. Wychowaliście się w domu dziadka w górach. Ukończyłaś college w Elko, brat tam z tobą zamieszkał i skończył średnią szkołę. Teraz studiuje w Kalifornijskim Instytucie Technologii i jak ty jest wyjątkowo uzdolniony matematycznie. Jego specjalnością jest liczenie kart podczas gry. Domyślam się, że zadał się z lichwiarzami. Jeśli to ludzie, o których myślę, życie Jamiego znajduje się w niebezpieczeństwie.

Maddie odwróciła się do niego. Mówił, że jednym telefonem wszystkiego się o niej dowie, ale jego wiedza była zaskakująca.

- Czego jeszcze się dowiedziałeś? - spytała uszczypliwie.

Lekko się uśmiechnął.

- Nie mam pojęcia, kiedy straciłaś dziewictwo, jeśli to cię dręczy. - Przez chwilę milczał. - Co do minionej nocy...

- Zapomnij o tym - rzuciła ostrzej, niż zamierzała. - Ja już zapomniałam.

- Czyżby? - Spojrzał na nią z ukosa.

- Tak.

- A ja nie. - Patrzył na nią rozpalonym wzrokiem. - Odkąd cię zostawiłem w łóżku, o niczym innym nie myślę.

- Więc czemu mnie zostawiłeś? - Gdy to powiedziała, pożałowała tego.

Zabrzmiało to żałośnie.

- Madeleine...

- Zapomnij o tym - powtórzyła. - Obchodzi mnie tylko brat, chcę go odzyskać całego i zdrowego.

- Ja też tego pragnę - odparł - dlatego musisz mi powiedzieć, co wiesz o tych ludziach. Jak ich poznał?

Milczała, ważąc opcje, potem ciężko westchnęła.

- Mówiłam ci, że ojciec nauczył mnie grać w blackjacka i pokera.

Colton skinął głową.

- A dziadek nauczył tego Jamiego. Oboje nas nauczył dużo więcej niż samej gry. Pokazał nam, jak wykorzystać system. - Znów obróciła się do okna. - Byłam w tym dobra, ale Jamie był świetny. Dwa razy, jeszcze w szkole, wpakował się w kłopoty, grając z ludźmi, którzy byli od niego dwa razy starsi i dziesięć razy bardziej wredni. Za drugim razem wylądował w szpitalu. Kiedy wyjechał do college'u, kazałam mu obiecać, że z tym skończy.

- Nie skończył. Maddie prychnęła.

- Jeśli badałeś moją przeszłość, wiesz, że nałogi w mojej rodzinie są jak wirus. Nałogowe picie, nałogowy hazard.

- Uwolnimy go. - Zaskoczył ją, kładąc dłoń na jej rękę.

Maddie skinęła głową, nie ufała swojemu głosowi. Colton nie rozumie, że Jamie jest wszystkim, co jej pozostało. Owszem, miał już problemy, ale nie takie.

- Wiesz, czy przyjechał do Reno sam czy z kimś?

- Nie wiem. - Pokręciła głową. - W szkole należał do kółka graczy w blackjacka. Chyba z nimi podróżował, ale nie jestem pewna. - Posłała mu krótki uśmiech. - Wiedział, że tego nie pochwalam, więc o tym nie mówił.

- Ale wiedziałaś, że nadal gra?

- Nie byłam pewna, tylko podejrzewałam. Kiedy ostatnio go odwiedziłam, byłam zszokowana, widząc, ile ma kosztownych rzeczy. Jak uczysz się i pracujesz, nie stać cię na markowe ciuchy i najnowocześniejszą elektronikę.

- Jak się dowiedziałaś o jego kłopotach?

- Pewnego ranka ktoś mi podrzucił do domu formularz ustaleń pogrzebowych z listem. - Zadrżała. - Kilka godzin wcześniej miałam telefon od Jamiego. Nie płakał, ale był bliski łez, słyszałam, że się boi. Chyba coś mu zrobili.

- Co mówił?

- Że mu przykro, że nie poszło mu w karty i stracił pieniądze. Podał tym ludziom moje imię i powiedział, że dostarczę im sumę, którą stracił.

- Ile?

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

Colton przeklął pod nosem.

- Ile czasu ci dali?

- Siedemdziesiąt dwie godziny, dlatego musimy wracać do Reno. Już straciliśmy prawie czterdzieści osiem godzin. Jeśli do jutra rana nie dostarczę im pieniędzy, zabiją Jamiego.

- Powiedział ci coś o ludziach, którzy go przetrzymują?

- Nie, pozwolili mu rozmawiać tylko kilka sekund.

- Gdzie masz podrzucić pieniądze?

- Dali mi numer telefonu, jutro o dziesiątej rano mam tam zadzwonić.

- Masz ten numer?

- Oczywiście.

- Okej. Jutro rano zadzwonisz, ale mowij nie ma, żebyś podrzuciła pieniądze.

- Colton...

- Zaufaj mi. Nikt nie skrzywdzi twojego brata.

Później jechali w milczeniu, aż słońce rozjaśniło skraj nieba, zalewając horyzont bladym złotem i podkreślając sylwetki szczytów.

- Dokąd jedziemy? - zapytała.

Zjechali z autostrady i przemierzali kręte drogi pogórza Sierra Nevada.

- Do Pyramid Lake - odparł, gdy mijali drogowskaz.

Popatrzyła na Coltona z niedowierzaniem.

- Do rezerwatu Indian? Czemu?

- Dorastałem w Pyramid Lake.

- Jesteś Pajutem?

- Szoszonem. Po matce.

- Nadal nie rozumiem, po co tam jedziemy?

- Bo mam plan i chcę, żebyś była bezpieczna, kiedy wyjadę. Najbezpieczniejszym miejscem, jakie znam, jest mój dom rodzinny.

Popatrzyła na niego zelektryzowana.

- Wyjedziesz? Co to znaczy?

Colton zacisnął wargi.

- Mam plan, jak wyrwać twojego brata z rąk tych ludzi. Ty musisz tu zostać.

- Nie wiem, co to za plan, ale jadę z tobą. Oni na mnie czekają, a nie na glinę.

- Nie, Madeleine. Znam tych ludzi, nie chcę, żebyś się do nich zbliżała. Jeśli się nie mylę, ludzie, którzy przetrzymują twojego brata, zajmują się nielegalnym hazardem i lichwiarstwem, a teren ich działania ciągnie się od wybrzeża do wybrzeża, a nawet wykracza poza granice Stanów. To zawodowcy. Poza tym nie masz pieniędzy.

- Przez ciebie - odparowała na granicy łez. - Gdybyś się nie wtrącił, wygrałabym dosyć, żeby spłacić dług, a brat byłby już w domu.

- Bzdura, i świetnie o tym wiesz. Po pierwsze w kasynie nie pozwoliliby ci tyle wygrać. Po drugie, gdybym się nie wtrącił, już byś nie żyła albo siedziałabyś za kratkami. Nie wspominając o tym, że gdybyś w barze nie wyciągnęła broni, nie musiałbym się w ogóle wtrącać. Sama mnie w to wciągnęłaś, a teraz musisz z tym żyć.

- Nie mam nikogo oprócz brata. - Nie zamierzała tego mówić, choć od początku tego koszmaru te słowa dzwoniły jej w uszach. Nie wiedziała, co by zrobiła, gdyby cokolwiek stało się Jamiemu.

Ku jej zaskoczeniu Colton zaparkował na poboczu i wziął ją w ramiona.

- Wiem - odrzekł. - Obiecuję, że nic złego mu się nie przydarzy. Mam plan, ale ciebie muszę tu zostawić. Chcę wiedzieć, że jesteś bezpieczna i nie zrobisz nic głupiego. To nie potrwa długo. - Ujął jej twarz w dłonie, zaglądając w oczy. - Okej?

Patrzyła na niego poruszona. Krótko skinęła głową. W oczach Coltona widziała niepokój, a na jego twarzy napięcie. Poczowała wyrzuty sumienia. Gdyby nie ona, odpoczywałby z wędką.

- Przepraszam. Nie chciałam cię w to wplątać. Tyle dla mnie zrobiłeś, a ja cię okłamałam, okradłam, uśpiłam...

Colton się uśmiechnął.

- Hej, każdy związek ma problemy.

Była zbyt zaskoczona, by zareagować.

- Posłuchaj - podjął, głaszcząc jej policzek. - Nie martw się. Jestem w tym naprawdę najlepszy.

- Colton...

- Tak, kochanie?

- Skłamałam - wydusiła. - Nie przestałam myśleć o minionej nocy.

Twarz Coltona złagodniała, przyciągnął ją do siebie.

- Och, Madeleine.

- Nie zasługuję na twoją dobroć.

- Nie - przyznał. - Zasługujesz na dużo więcej.

Pocałował ją tak słodko, że łzy napłynęły jej do oczu.

Zbyt szybko jednak oderwał od niej wargi.

- Musimy ruszać. Mamy mało czasu. - Zmienił bieg. - Wiem, ile dla ciebie znaczy Jamie. Mam dwóch braci, wszystko bym dla nich zrobił. - Urwał, jakby się nad czymś zastanawiał. - Wiedz, że nie jesteś z tym sama. Teraz masz mnie.

Samochód ruszył. Maddie wciąż czuła na wargach pocałunek Coltona, jego dłonie, jakby jego dotyk zostawił trwałe ślad. Wiedziała, że mówił szczerze, ale miała również świadomość, że choć teraz może na niego liczyć, długo to nie potrwa.

TLR

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nie powinien był całować Madeleine, ale nie mógł udawać, że tego żałuje. Jej niechętnie przyznanie się do myśli o minionej nocy napełniło go satysfakcją, za to jej przekonanie, że nie zasługuje na jego dobroć, nie dawało mu spokoju. Chciał wziąć ją do łóżka i pokazać, na co zasługuje, ale naprawdę nie mieli teraz czasu.

Minęli tablicę przy wjeździe do rezerwatu. Colton od ponad siedmiu miesięcy nie odwiedzał rodziny, znajomy pejzaż obudził w nim tęsknotę. U rozwidlenia dróg zignorował znak, który kierował podróżnych do centrum informacyjnego, i skręcił w porytą koleinami drogę. Wyczuwał zainteresowanie Madeleine. Posłał jej uspokajający uśmiech.

- Moja matka i ojczym mają ranczo jakieś trzy kilometry stąd. Hodują bydło. Nieduże stado, z pięćset sztuk, ale daje pracę miejscowym.

- A twój ojciec?

- Mieszka w Monterey. Nie pobrali się z mamą, ale się przyjaźnią.

- Naprawdę? - Nie zdołała ukryć niedowierzania.

- Tak. - Uśmiechnął się.

Nie wiedziała, czego się spodziewać, ale na pewno nie schludnego domu otoczonego przez sześć innych budynków, padoki i zagrody. Dom był przestronny i dobrze utrzymany. Za nim znajdowała się duża stodoła, wewnątrz dojrzała sylwetki kilku osób. Obok stało kilka pickupów. Colton zaparkował i zgasił silnik.

- W porządku?

Na ganek wyszła właśnie kobieta.

- Chyba trochę się denerwuję.

- Nie ma powodu. Od dziesięcioleci nie porwaliśmy białej kobiety, a jedyną osobą, która wstąpiła na wojenną ścieżkę, będzie moja matka, jak jej błota naniesiemy.

Maddie się zaczerwieniła.

- Nie przez to się denerwuję.

Nigdy nie zastanawiała się nad pochodzeniem Coltona, poza stwierdzeniem, że zawdzięczał mu urodę. Teraz na myśl o spotkaniu z jego bliskimi dłonie jej się pocily. Ledwie pamiętała własną matkę, wspomnienie ojca zabarwione było mieszanką złości i strachu. Nawet dziadek, którego kochała, nie był dla niej wzorem czy autorytetem.

Domyślała się, że rodzina Coltona jest inna, słyszała to w jego głosie. Odkąd go spotkała, był stale czujny, ale teraz, w domu wydawał się bardziej zrelaksowany.

Zaczesał kosmyk jej włosów za ucho.

- Nie ma się czym denerwować, Madeleine. Chodź, poznaj moją rodzinę. Potem zrobimy plany, okej?

Kiwnęła głową, powściągając chęć wtulenia policzka w jego mocną dłoń. Na pozór usatysfakcjonowany wysiadł z samochodu i otworzył jej drzwi. Ze stodoły wyszło kilku mężczyzn, inni wyłonili się z jednej z dobudówek.

Mimowolnie chwyciła Coltona za rękę, aż poczuła ciepło jego palców. Równocześnie z dwoma grupami mężczyzn dotarli na ganek. Wszyscy byli miejscowi, mniej więcej w wieku Coltona, poza jednym, który był co najmniej dwadzieścia lat starszy. Spod kowbojskiego kapelusza wystawały długie ciemne włosy związane w koński ogon. Ucisnął Coltona, mówiąc coś w niezrozumiałym dla Maddie języku.

Colton oddał mu uścisk, a potem odwrócił się do stojącej w milczeniu kobiety. To była jego matka. Miała te same ciemne oczy, tę samą czujność i niezwykłą urodę.

- Mamo - Colton wziął ją w ramię - dziękuję, że zgodziłaś się nas przyjąć.

- To wciąż twój dom. Wiesz o tym.

Colton lekko pchnął naprzód Maddie.

- To Madeleine Howe, moja przyjaciółka.

Kiedy matka Coltona wzięła ją za rękę, Maddie poczuła odciski na jej dłoniach.

- Jestem Susan Waite. Witaj na ranchu Black Creek. - Objęła ją ciepłym spojrzeniem.

- Dziękuję. - Maddie uśmiechnęła się niepewnie.

Colton przedstawił jej starszego mężczyznę.

- A to mój ojczym, Billy Waite, pozostali to przyjaciele. - Zwrócił się do matki. - Aiden Cross tu jedzie.

Powinien być za godzinę.

Maddie uśmiechała się do mężczyzn, ale nie słyszała ich imion, gdy Colton ich przedstawiał. Jedyne, które zapamiętała, to Siyota Rączy Koń, głównie z powodu jego policyjnego munduru.

- Wejdźcie do środka - zaprosiła Susan. - Zaparzyłam kawę.

- Pójdziemy z chłopcami do baraku - odrzekł Colton. - Maddie pewnie napije się kawy. - Widząc jej przerażoną minę, szepnął jej do ucha: - Zaraz wracam.

Maddie odprowadzała mężczyzn wzrokiem, po czym niechętnie ruszyła za matką Coltona.

- Proszę usiąść. - Susan wskazała na ogromny wiejski stół na środku dużej kuchni. - Jaką kawę pani pije?

- Słabą, proszę. - Maddie usiadła, a Susan naląła dla nich obu kawę. Maddie się rozejrzała.

Dom był spory, urządony rustykalnie, ale nie prymitywny. Ciepłe barwy tworzyły przyjazną atmosferę. Przy ścianie stał otwarty kredens z kolekcją ręcznie robionej ceramiki. Na niższej półce widniały oprawione fotografie, które przyciągnęły uwagę Maddie. Wstała, by im się przyjrzeć.

- Czy to Colton? - Wzięła do ręki zdjęcie i przesunęła je pod światło. Dwaj chłopcy obejmowali się chudymi ramionami i uśmiechali pśotnie do obiektywu. Obaj mieli czarne lśniąco włosy i ciemne oczy, ale jeden miał dołeczki, które Maddie od razu rozpoznała.

Susan stanęła obok i podała jej kubek kawy.

- To Colton i jego najlepszy przyjaciel Siyota, kiedy mieli dziesięć lat. - Uśmiechnęła się czule. - Niezłe z nich były rozrabiaki.

Maddie odłożyła zdjęcie i sięgnęła po drugie.

- A to?

- Moi młodszy synowie, Shane i Wes. Teraz są starsi oczywiście.

Maddie dostrzegła podobieństwo chłopców do Coltona.

- Ładni chłopcy.

Susan uniosła głowę, nasłuchując.

- Chyba się obudzili.

- Są tu?

- Oczywiście. Pewnie uważają się za dorosłych mężczyzn, gotowych opuścić dom ojca, ale jeden ma dopiero siedemnaście, a drugi piętnaście lat. Normalnie byliby już na nogach i pomagali ojcu, ale Billy zdecydował, że dzisiaj mogą pospać.

Jak na zawołanie do kuchni wszedł nastoletni chłopak, zaspany i trochę niezadowolony.

- Czemu pozwoliłaś mi tak długo spać? Co się dzieje? - Dojrzał Maddie i zatrzymał się w pół kroku. - Przepraszam, nie wiedziałem, że mamy gości.

- Shane, to Madeleine Howe, przyjaciółka Coltona.

Twarz chłopca pojaśniała.

- Colton przyjechał? Gdzie jest?

- Jest w baraku z ojcem, rozmawiają o interesach...

Zanim skończyła, Shane pobiegł obudzić brata.

- Colton przyjechał! Pospiesz się!

Po chwili usłyszały trzaśnięcie drzwi, a Maddie zobaczyła przebiegającego Wesa, który w pośpiechu wciągał koszulę.

Susan wzruszyła ramionami.

- Uwielbiają Coltona. Był nastolatkiem, kiedy przyszli na świat. Jego wizyty to dla nich zawsze radość.

- Mam brata, który jest niewiele starszy od Shane'a - oznajmiła Maddie. - Jest dla mnie najważniejszą osobą.

- Ale może w pani sercu jest miejsce dla innej osoby?

Maddie rzuciła kobiecie zaskoczone spojrzenie.

- Co pani ma na myśli?

- Widzę, jak Colton na panią patrzy.

- Och, nie. - Zaśmiała się zaskoczona. - Myli się pani. Ledwie go znam i jestem ostatnią kobietą, z którą chciałby się związać.

Susan przyjrzała się jej znad brzegu kubka.

- Coś mi mówi, że już się związał. To dobry człowiek.

Rozmowę przerwał im powrót chłopców. Mieli skwaszone miny.

- Colton kazał nam spadać - oznajmił Wes, lustrując Maddie. - Coś planują, a nie chcą nam powiedzieć co.

- Tak powiedział? Kazał wam spadać? - spytała Maddie.

- Nie. Powiedział, żebyśmy im dali dwadzieścia minut, a potem przyjdą do domu - wyjaśnił Shane, nalewając sobie kawę. - Aiden przyjechał. Co się dzieje, mamo?

- Usiądź, zrobię wam śniadanie. - Susan stanęła przy wielkim piecu. - Przywitaj się z Madeleine, przyjaciółką Coltona. Zostanie u nas dzień czy dwa.

Maddie przygryzła wargę, by nie zaprotestować, i posłała chłopcom uśmiech. Usiedli naprzeciwko niej. Obaj mieli ciemne oczy i szlachetne rysy. Wyobrażała sobie, że wkrótce będą z nich prawdziwi przystojniacy. Zauważyła też ich podobieństwo do Coltona, choć on był atletyczny, a chłopcy jeszcze szczupli.

Susan szykowała jajka na bekonie. Maddie zastanawiała się, co tak długo zatrzymuje Coltona. Oszaleje, jeśli będzie tu musiała siedzieć jeszcze minutę. Odsunęła się z krzesłem i wstała.

- Zobaczę, czemu on nie wraca.

Shane pokręcił głową.

- Na pani miejscu bym tego nie robił. Jeśli Colton mnie nie pozwolił zostać, nie ma mowy, żeby pani pozwolił.

Maddie spojrzała na niego urażona.

- Czemu? Bo jestem kobietą?

- Nie - odparł. - Bo chyba planują jakąś tajną operację. Colton nie pozwala się mieszać w jego zawodowe sprawy.

Niepokój Maddie wzrósł. Czy nie zrozumiał, że jeśli spróbują interweniować, narażą życie Jamiego?

- To nie jest jego sprawa zawodowa - odrzekła stanowczo. - To sprawa osobista.

Pomaszerowała do drzwi, a gdy je otworzyła, o mały włos nie zderzyła się z Coltonem.

- Hej, dokąd to? - Chwycił ją za ramiona.

- Szłam sprawdzić, co knujecie - mruknęła. Zamknął drzwi i pociągnął ją po schodkach na dół.

- Właśnie po ciebie szedłem.

- Shane mówi, że szykujecie tajną operację.

- Chcę, żebyś zadzwoniła do ludzi, którzy przetrzymują twojego brata i powiedziała im, że potrzebujesz więcej czasu.

- A jeśli odmówią?

- Spróbujemy negocjować. Im dłużej utrzymasz ich na linii, tym lepiej.

Poszli do najdalej leżącego budynku z drewnianych bali, z porzewiałym metalowym dachem i otwieranymi na zewnątrz oknami. Colton wprowadził ją do pokoju, gdzie wokół długiego stołu rozmawiało cicho co najmniej dwunastu mężczyzn. Na ich widok podnieśli wzrok.

Jeden z mężczyzn podszedł do nich. W jego sposobie bycia było coś, co budziło zaufanie.

- Pani zapewne jest Madeleine.

Kiwnęła głową, bo zabrakło jej słów. Z bliska mężczyzna okazał się więcej niż atrakcyjny, miał burzę jasnych włosów i najbardziej niebieskie oczy, jakie widziała. Uśmiechnął się, a ona była pewna, że świetnie wie, jakie wrażenie robi na kobietach. Jakby od lat się znali, otoczył ją ramieniem i odsunął nieco od Coltona. Maddie czuła jego ciepło i zapach: mieszankę męskiego dezodorantu, mydła i subtelnej woni kokosu, która jej przypominała słoneczne kąpiele na plaży.

- Jestem Aiden Cross - rzekł, pochylając głowę. - Czy Colton wyjaśnił, czego od pani oczekujemy?

Maddie zerknęła na Coltona. Czy jej się wydawało, czy nagle stał się jakby większy i ciemniejszy?

- Tak. Mam zadzwonić do ludzi, którzy trzymają mojego brata i powiedzieć, że potrzebuję więcej czasu na zdobycie pieniędzy.

- Tak - odparł Aiden ciepłym głosem, z uśmiechem w oczach. - Nie wiemy, gdzie pani brat jest przetrzymywany. Kiedy pani do nich zadzwoni, spróbujemy ich zlokalizować.

Zmarszczyła czoło.

- Przecież powiedzą mi, gdzie mam przywieźć pieniądze.

- Tak, ale zamierzamy ich dzisiaj otoczyć. Będziemy tam, kiedy pani pojawi się z pieniędzmi.

- A jeśli w ostatniej chwili zmienią miejsce?

- Telefon powie nam, gdzie są teraz, będziemy śledzić sygnał, więc bez naszej wiedzy nic nie zrobią.

Na jej twarzy musiało odmalować się przerażenie, bo Colton do niej podszedł i zdjął z jej ramion rękę Aiden, patrząc na niego ze ściągniętymi brwiami.

- Nie ma potrzeby nudzić Madeleine szczegółami. - Zwrócił się do Maddie. - Musisz tylko wiedzieć, że uwolnimy twojego brata.

- Chcecie tam kogoś wysłać? Nie rozumiesz, że wszystko zepsujecie? - Uniosła głos. - Wyraźnie powiedzieli, że jeśli poinformuję policję, zabiją Jamiego.

Colton spojrzał jej w oczy.

- Chyba wiem, kto więzi twojego brata. To niebezpieczni ludzie. Czy wspomniał kiedyś nazwisko Canterino?

Pokręciła głową.

- Nie, nigdy. To oni go trzymają?

- Kiedy ich zlokalizujemy, będziemy mogli to potwierdzić. To dla nich typowe działanie. Od ponad roku prowadzimy w ich sprawie śledztwo, ale dotąd nie dysponowaliśmy dowodami ich przestępczej działalności.

- Słusznie interpretując jej zmartwioną minę, pochylił głowę. - Musisz nam pozwolić działać. To nasza praca.

Zanim zaprotestowała, Aiden wcisnął jej do ręki telefon.

- Proszę wybrać numer i powiedzieć, że jest pani W Reno. Że chce pani teraz przyjść i dać im pieniądze.

Maddie rzuciła Coltonowi speszzone spojrzenie.

- Nie mam pieniędzy. A jeśli odkryją, że ich oszukuję?

- Nie odkryją. Będą się trzymali planu, to da nam szansę zlokalizowania ich.

Colton kiwnął głową, potwierdzając słowa Aiden.

Aiden odwrócił się i po raz pierwszy Maddie zauważyła na stole metalową puszkę wielkości pudełka od butów. Na puszcze spoczywał metalowy talerz z małymi lampkami i pokrętłami. Puszka była podłączona do laptopa. Na ekranie Maddie dojrzała mapę.

- Co to? - zapytała.

- To urządzenie działa jak nadajnik telefonii komórkowej, łączy się z telefonem. Operator może wysłać do tego telefonu sygnał i zlokalizować go.

- To wam pokaże, gdzie są porywacze?

Colton zerknął na stół. Aiden i pozostali mężczyźni patrzyli na Maddie wyczekująco.

- Już z tego korzystaliśmy. To działa.

- No dobrze. - Wyjęła z kieszeni skrawek papieru, rozwinęła go i wybrała numer. Patrząc na Coltona, słuchała sygnału. Colton też słuchał przy pomocy słuchawki podłączonej do jej telefonu.

- Taa? - Odezwał się niski głos.

- Mówi Madeleine Howe. Kazano mi zadzwonić na ten numer, jak przyjadę do Reno.

- Wiem, kim jesteś, do diabła - warknął mężczyzna po drugiej stronie. - Nie kazałem ci dzwonić, jak przyjedziesz do Reno, ty suko, miałaś dzwonić jutro o dziesiątej rano.

Głos był lodowaty i wściekły. Maddie poczuła złość.

- Nie obchodzi mnie, co pan mówił - burknęła. - Jestem na miejscu i chcę odzyskać brata. Niech pan mi powie, gdzie mam przynieść pieniądze.

- Powiem ci jutro o dziesiątej. Jeśli nie chcesz, żebym ci odesłał brata w kawałkach, nie zadzwonisz do mnie wcześniej. Zrozumiałś?

- Skąd mam wiedzieć, że Jamiemu nic się nie stało? Niech pan go da do telefonu albo nic nie dostaniecie.

Cisza się przeciągała, w końcu Maddie słyszała tylko szum własnej krwi w uszach. Prawie nie zwracała uwagi na Coltona i pozostałych.

- Maddie? - rozległ się głos Jamiego, wysoki i przestraszony.

- Jamie! - Ścisnęła telefon, serce mało jej nie pękło ze strachu. - Nic ci nie jest?

Ale odpowiedź nie padła z ust brata. Znow odezwał się tamten mężczyzna.

- Jutro - warknął. - O dziesiątej.

Rozłączył się. Maddie stała z telefonem przy uchu jeszcze przez kilka sekund.

- Jamie żyje.

Colton wziął od niej telefon i ją objął.

- Oczywiście, że żyje. Nie zabiją go.

Gdy się odsunął, Maddie natychmiast zatęskniła za jego ciepłem. Chciała, by ją przytulał i powtarzał, że wszystko będzie dobrze. Ale on już pochylał się nad stołem i patrzył na ekran laptopa.

- Mamy ich - rzekł Aiden, wskazując mapę. - Tutaj, na północ od Reno. To opuszczona kopalnia. Wyświetlę obrazy z satelity, pokażą nam szczegółowo teren.

- Dam znać Cooperowi, gdzie ma wysłać ludzi - powiedział Colton. - Za godzinę ruszamy. Aiden, jedziesz ze mną. Siyota, zbierzesz pozostałych i jedziecie za nami.

Maddie patrzyła na mężczyzn, którzy zapisywali współrzędne i rozmawiali na temat kopalni.

- A co ze mną? - zwróciła się do Coltona.

- Zostaniesz tu. - Pociągnął ją do drzwi. - Wrócimy przed kolacją. Jedziemy na rekonesans i po to, żeby rozmieścić tam ludzi, jeśli trzeba. Nikt tam nie wejdzie, nie będzie żadnych strażników. Okej?

Patrzyła na niego przez zmrużone oczy.

- Obiecujesz?

- Obiecuję. - Widząc jej sceptyczną minę, westchnął z irytacją. - Prosiłem, żebyś mi zaufała. Musimy się na jutro przygotować, żeby bezpiecznie wydostać twojego brata. Kiedy tylko te dranie zdadzą sobie sprawę,

że nie masz pięćdziesięciu tysięcy, szybko zrobi się naprawdę groźnie. Musisz tu zostać i obiecać, że nie zrobisz żadnego głupstwa. Na przykład nie uciekniesz.

Maddie się zjeżyła.

- Nie...

- Bo cię przykuję kajdankami do ściany. - Cofnęła się. - Obiecaj mi to - powtórzył.

- Okej - odrzekła w końcu. - Obiecuję.

- Wrócę, zanim zapadnie ciemność. - Colton ją pocałował. - Wracaj do domu i bądź grzeczna.

TLR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Czekając na powrót Coltona, miała wrażenie, że ten dzień nigdy się nie skończy. Od chwili wyjazdu mężczyzn Susan zajmowała czymś Maddie, zaangażowała ją do pomocy przy karmieniu koni, potem razem szykowały posiłek dla licznych pracowników rancza.

Przyzwyczajona do gotowania dla brata Maddie myślała, że nikt nie je więcej niż nastoletni chłopak. Nie brała pod uwagę głodnych mężczyzn, którzy po południu licznie stawili się w kuchni. Razem z Susan przygotowały ogromny gar ryżu oraz fasoli i chleb kukurydziany, a także grube plastry szynki.

Pracownicy zjedli to wszystko błyskawicznie, a potem szybko wrócili do swoich zajęć, zostawiając kobietom zmywanie. Spojrzenie Maddie wciąż wędrowało w stronę okna, na podjazd prowadzący do głównej drogi.

- Jak powiedział, że wróci przed kolacją, to tak będzie - rzekła Susan. - Pomoże mi pani przygotować kolację?

Maddie spojrzała na nią ze zdumieniem.

- Kolację? Ledwie posprzątałyśmy po lunchu.

- Dziś wieczór będzie jeszcze więcej gąb do nakarmienia - stwierdziła Susan. - Ulubionym daniem Coltona jest pieczony kurczak i babeczki z sosem. Za tymi drzwiami znajdzie pani spiżarnię i lodówkę. Potrzebujemy sześć kurczaków i dziewięć kilo ziemniaków.

Maddie otworzyła usta. Nie miała pojęcia, jak ciężka jest praca na ranczu. Colton mówił, że to niewielkie przedsiębiorstwo rolne posiadające zaledwie pięćset sztuk bydła. Ale Susan mówiła, że stale trzeba naprawiać płoty, sprawdzać rury irygacyjne i wykonywać dziesiątki innych zajęć związanych z utrzymaniem zwierząt oraz sprzętu.

Kiedy wreszcie kolacja była gotowa i nakryły do wielkiego stołu, słońce zaczęło chować się za horyzontem.

- Niedługo wrócą - uspokoiła Susan, widząc zniecierpliwienie Maddie. - Niech się pani zrelaksuje.

Maddie się zaśmiała, kładąc gorącą babeczkę do koszyka.

- Nie wiem, czy potrafię. - Zerknęła na Susan z ukosa. - Skąd pani wie, że niedługo wrócą?

- Mój syn zawsze dotrzymuje słowa. - Matka Coltona się uśmiechnęła. - A chwilę temu widziałam reflektory samochodów, jak zjeżdżali z głównej drogi.

Maddie natychmiast odwróciła się do okna i ujrzała trzy podjeżdżające auta. Zaparkowały obok stodoły. Po kilku minutach Colton z ojczymem weszli do kuchni. Colton rzucił na krzesło worek marynarski i plecak.

- W porządku? - spytał Maddie.

Skinęła głową zadowolona. Choć kuchnia była przestronna, a stół ogromny, przy Coltonie wszystko wydawało się małe.

- Zrobiliśmy kolację. - Wskazała na półmiski. Colton wziął z koszyka babeczkę.

- Co masz w plecaku? - zapytała Maddie.

- Nic takiego. Jakieś rzeczy, które jutro mi się przydadzą.

Chciała zadać więcej pytań, ale w tym momencie do kuchni weszli pracownicy rancza i zajęli miejsca przy stole. Z sąsiedniego pokoju przyszedli Shane i Wes. Maddie pomagała Susan podawać do stołu.

- Porozmawiamy po kolacji - rzekł Colton, po czym posadził Maddie na krześle obok siebie.

- Okej. Gdzie twoi przyjaciele?

- Jacy przyjaciele? - Zerknął na nią.

- Nieważne.

- Aiden i Siyota zostali w Reno. Uspokój się - poprosił, słusznie interpretując jej niespokojne spojrzenie.

- Szykują się na jutro, do jutra nic się nie wydarzy.

Maddie zwróciła uwagę, że gospodarze traktowali swoich pracowników jak członków rodziny. Susan wypytywała ich o żony i dzieci, jakby każdego dobrze знаła. Po zakończeniu posiłku nikt nie wstał od stołu. Dopiero po paru filiżankach kawy i niekończących się opowieściach o życiu na ranczu mężczyźni się pożegnali.

- Możecie z Madeleine nocować w tylnym skrzydle - powiedziała Susan do Coltona. - Dziś rano posłałam łóżko, w łazience są czyste ręczniki.

Maddie spojrzała pytająco na Coltona, ale on ścisnął jej rękę pod stołem, dając znak, by milczała.

- Dziękuję - odparł. - Mam nadzieję, że nie będzie ci przeszkadzało, jak wstaniemy wcześniej. To był długi dzień, żadne z nas nie spało wiele tej nocy.

Maddie zauważyła znaczące spojrzenie, jakie Susan wymieniła z mężem, ale kiedy się odezwała, jej głos brzmiał serdecznie.

- Rozumiem.

Odwróciła się do synów, którzy nie mieli ochoty odchodzić od stołu, póki Colton i Maddie tam byli.

- Chłopcy, macie wieczorne obowiązki, prawda? Słyszac podwójny jęk, Maddie powściągnęła uśmiech.

Chłopcy przypominali jej Jamiego, który jęczał, ilekroć prosiła, by odrobił lekcje albo posprzątał pokój.

- Idźcie już - powtórzyła Susan. - Jutro się zobaczycie z bratem.

Chłopcy z ociąganiem wyszli z kuchni.

- Dzięki za kolację, mam. Była wspaniała - rzekł Colton.

- Do zobaczenia rano, synu.

- Wstanę bardzo wcześnie, ale Madeleine tu zostanie, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Zaprotestowałyby, gdyby nie ostrzegł jej spojrzeniem. Nie zamierzała się z nim sprzeczać w obecności jego matki i ojczyma, lecz nie pozwoli, by ją tu zostawił. Życzyła gospodarzom dobrej nocy i poszła za Coltonem. W odległej części domu Colton otworzył drzwi dużej sypialni z kąciem wypoczynkowym i łazienką. Drugie drzwi prowadziły na zewnątrz.

- To było mieszkanie kucharki, zanim rodzice przejęli ranczo - wyjaśnił, kładąc na krześle bagaż. - Samotni mężczyźni śpią w baraku, przynajmniej ci, którzy nie są miejscowi.

- A ty? - Maddie podeszła do okna i wyjrzała w ciemność. - Gdzie sypiasz, jak tu przyjeżdżasz?

Przez chwilę milczał. Widziała jego odbicie w szybie.

- W swojej dawnej sypialni, naprzeciw pokoju Shane a i Wesa - odparł. - Wolałabyś, żebym tam spał?

Wstrzymała oddech. Słowa Coltona przywoływały obrazy minionej nocy. Rozsądek kazał jej powiedzieć, by spał w swoim pokoju. Z ich związku nic dobrego by nie wyszło, nawet gdyby był czysto fizyczny. Gdyby jednak Colton udał się do innej części domu, nie wiedziałaby, kiedy wstanie. Nie pozwoli mu wyjść samemu.

- Colton...

- Nie chciałem stawiać cię w niezręcznej sytuacji - przerwał, głaszcząc jej kark. - Położę się gdzie indziej.

- Właśnie chciałam powiedzieć, żebyś został. - Odwróciła się i zobaczyła jego pociemniałe oczy.

- Okej. Jest jeszcze wcześnie. Może posiedzimy na zewnątrz?

Nie czekając na odpowiedź, otworzył tylne drzwi. Mogłaby pomyśleć, że denerwował się tym sam na sam, ale nie wyobrażała sobie, by cokolwiek mogło go zdenerwować. Wyszła za nim na szeroki ganek, gdzie znajdowała się huśtawka. W słabym świetle półksiężyca widziała w oddali łagodne wzgórza. Temperatura spadała.

- Usiądź tu. - Zaprosił ją na huśtawkę i odepchnął się nogą. Zachowała dystans, a i tak czuła jego ciepło.

- Więc co będzie jutro? - spytała w końcu.

- Uwolnimy twojego brata - odparł krótko.

Jego surowy profil mówił, że nie warto się z nim kłócić.

- Czemu to robisz?

- Bo porwanie nikomu nie powinno ujść na sucho.

- Zawsze chciałeś być policjantem?

- Prawie.

- Gdzie się uczyłeś?

Ku jej zaskoczeniu sprawiał wrażenie zmieszanego.

- W Stanford. - Wzruszył ramionami. - Tam studiowali mój ojciec i dziadek, więc było oczywiste, że ja też tam trafię.

- Mówiłeś, że ojciec mieszka w Monterey, domyślałam się, że nie jest Szoszonem?

Colton się zaśmiał. Zdała sobie sprawę, że dotąd nie słyszała jego śmiechu.

- Nie - odparł. - Jest chirurgiem. Jako student medycyny spędził lato w rezerwacie, w tutejszej przychodni. Tak poznał matkę.

- Aha. Więc to była miłość.

Colton się uśmiechnął.

- Miłość na jedno lato. Potem wrócił do Stanford, a matka odkryła, że jest ze mną w ciąży. Ojciec chciał się z nią żenić, ale odmówiła.

Patrzyła na niego skonsternowana.

- Wiem, co myślisz, ale się mylisz - rzekł, czytając jej w myślach. - Miałem to, co najlepsze z obu światów, wakacje spędzałem w rezerwacie, a rok szkolny w Monterey. A ty? - spytał. - Jak zostałam księgową?

Spojrzała na niego zaskoczona, nim sobie przypomniała, że sporo o niej wiedział.

- Byłam dość mała, kiedy straciłam rodziców. Potem mieszkaliśmy u dziadka w górach. - Zaśmiała się.
- To on był dorosły, ale w zasadzie to ja wychowałam brata. Zarządzałam naszymi finansami, zawsze miałam zdolności w tym kierunku, więc wydawało się naturalne, że zostanę księgową.

- Jak ci się udało skończyć studia?

Przypomniała sobie trudne dni, gdy dziadek upierał się, by poszła do college'u w Elko. Jakimś cudem odłożył dość pieniędzy na czesne, a także akademik z wyżywieniem. Wszystko zmieniło się tego wieczoru, gdy Jamie niespodzianie pojawił się w akademiku, mówiąc, że nie chce dłużej mieszkać z dziadkiem.

- Kiedy wyjechałam do college'u, dziadek znów zaczął pić. Nie kupował nic do jedzenia, nie przejmował się, czy Jamie chodzi do szkoły. Kompletnie zaniedbał wnuka.

- Więc go zabrałaś?

Spojrzała na niego bezradnie.

- A co mogłam zrobić? Jamie pojawił się u mnie o dziesiątej wieczorem, przyjechał autostopem. Był jeszcze dzieckiem. - Pamiętała swoje przerażenie, gdy dowiedziała się, że dwunastoletni brat jechał autostopem.

- Co zrobiłaś?

- To, co musiałam. Wyprowadziłam się z akademika i wynajęłam mieszkanie z dwoma koleżankami. Jamie zamieszkał ze mną. Poszedł do miejscowej szkoły, a ja nocami pracowałam w restauracji, żeby zapłacić za wynajem. - Wzruszyła ramionami. - Kiedy skończyłam college, znalazłam pracę i nowe mieszkanie.

- Sama byłaś jeszcze prawie dzieckiem.

Maddie prychnęła.

- Uwierz mi, że szybko dorosłam. Matka zmarła, jak Jamie ledwie chodził, rok później ojciec się zabił. To nie było idylliczne dzieciństwo.

Colton westchnął i spojrzał na gwiazdy.

- Tamtej nocy, kiedy zabrałaś mój samochód, spotkałem twojego znajomego o imieniu Zeke. Kazał cię pozdrowić.

- O mój Boże. To on wciąż żyje?

- Tak, i pamięta cię. Powiedział, że byłaś kłamczuchą i złodziejką.

- Ma rację. - Zaśmiała się. - Wtedy dla pieniędzy zrobiłabym wszystko. Bóg wie, że dziadek nie robił nic, żebyśmy byli wypłacalni.

- A jednak znalazł pieniądze na twój college?

- Tego właśnie nie pojmuję - przyznała. - Żyliśmy niemal w nędzy, a on bez problemu opłacił moją szkołę. Nieraz pytałam, skąd wziął pieniądze, ale milczał. W końcu stwierdziłam, że nie chcę wiedzieć. Później jednak, kiedy poważnie zachorował, powiedział... - Urwała, nie chciała się tym dzielić. - Nieważne.

- Co powiedział? - Colton splótł palce z jej palcami.

Nie chciała wracać do choroby dziadka, tak otumanionego lekami przeciwbólowymi, że nigdy nie wiedziała, czy mówił przytomnie. Ale Colton potrafił skłonić ją do zwierzeń.

- Pod koniec, w szpitalu, pompowany morfiną, powiedział, że w domu ukrył majątek. Że siedział na górze złota.

- Dlatego tam pojechałaś. Myślałaś, że pod podłogą znajdziesz pieniądze.

- Taa. - Zaśmiała się gorzko. - Byłam głupia.

- Hm. - Otoczył ją ramieniem. - Nadzieja nie jest głupia.

Pachniał mydłem i powietrzem. Maddie się w niego wtuliła.

- Naprawdę myślisz, że jest nadzieja? Wiem, jacy to ludzie, do czego są zdolni. - Zerknęła na niego. - Ojciec popełnił samobójstwo, bo przegrał wszystko w kasynie. Jakby nie dość, stracił pożyczone pieniądze i nie miał z czego oddać. Uznał, że lepiej z sobą skończyć, nie czekając, co zrobią z nim wierzyciele.

Colton przytulił ją mocniej.

- Przykro mi. Obiecuję, że Jamiemu nic się nie stanie.

Skinęła głową. Rzadko mówiła o ojcu. Nikomu nie zdradziła, jak zmarł. Zapamiętała go jako człowieka o skrajnych nastrojach. Kiedy wszystko układało się dobrze, był nadzwyczaj radosny i wylewny. W gorszych chwilach był zły i przybity, a wtedy schodziła mu z drogi i pilnowała brata.

- Wierzę ci. - Otoczona ciepłem Coltona położyła rękę na jego udzie. - Ufam ci.

Jego twarz złagodniała, wciągnął ją na kolana.

- Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy. Ostatniej nocy chciałem z tobą zostać.

- To czemu nie zostałeś? - W świetle, które padało na ganek z okna sypialni, ledwie widziała jego twarz.

- Bo nie chciałem ci dać powodu do ucieczki.

- Nie rozumiem.

- Chciałem, żebyś mi ufała, a nie, żebyś się ze mną przespała z jakiegoś źle rozumianego poczucia obowiązku. - Urwał. - Nie chciałem też całkiem stracić kontroli. Nie byłem do końca pewien, czy nie zaczekasz, aż zasnę i wtedy nie uciekniesz.

Przypomniała sobie, jak ją przypiął kajdankami do łóżka, kiedy poszedł wziąć prysznic. Gdyby wtedy miała okazję, pewnie by uciekła. Ale od tamtej nocy coś się zmieniło. Colton był jej największą szansą na uratowanie brata, lecz nawet gdyby było inaczej, nie chciałyby go opuścić.

- A teraz? - zapytała, kładąc rękę na jego piersi i czując bicie jego serca. - Też byś mnie zostawił?

- Och, Madeleine. - Ujął ją pod brodę. - Nie obchodzi mnie, czemu chcesz, żebym został, jeśli tylko mi na to pozwolisz. Pozwól mi.

Nie była pewna, kto pierwszy się poruszył, ale w następnej chwili obejmowała go za szyję, a on całował ją namiętnie. Powiedziała sobie, że nazajutrz, gdy odzyska brata, pewnie każde z nich pójdzie swoją drogą i więcej się nie zobaczą.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Gdy tylko poczuł wargi Maddie i gdy przesunęła się na jego kolanach, wiedział, że musi się z nią kochać.

Trzymając ją w objęciach, poderwał się na nogi. Kopniakiem zamknął drzwi na ganek i ruszył do sypialni. Postawił Maddie obok łóżka, a ona stanęła na palcach, by go pocałować.

- Pragnę tego od tamtej nocy w górach - wyznała zawstydzona. - Kiedy siedzieliśmy na kanapie, a ty byłeś taki słodki... Ale potem posłałeś mnie samą do łóżka. Byłam bardzo zawiedziona.

Colton rozpuścił jej włosy i wplótł palce w jedwabiste kosmyki, patrząc z podziwem, jak światło lampy podkreśla złote pasemka.

- Nie chciałem cię wykorzystać - oznajmił.

Maddie się zaczerwieniła.

- Później to ja omal cię nie wykorzystałam, przypinając cię kajdankami do kanapy.

- Pamiętam - odparł Colton, który z początku źle zinterpretował jej zamiary.

Uśmiechnęła się i pocałowała Coltona, przesuwając językiem wzdłuż jego warg. Chwycił ją za pośladki.

- Wynagrodzę ci to - szepnęła, zabierając się za pasek u spodni.

Colton odchylił się, by ułatwić jej zadanie.

Nie był pewien, czy zdoła się kontrolować, jeśli Maddie dotknie jego członka. Od momentu, gdy oznajmiła, że chce, by z nią został, był podniecony, nie chciał jednak się spieszyć. Pragnął sprawić Maddie rozkosz, chciał, by obojgu było dobrze. Ujął jej twarz w dłonie i przycisnął wargi do jej ust. Mruknęła zadowolona, trzymając go w pasie. Kiedy przechylił głowę, by ją pocałować mocniej, przyłgnęła do niego, głaszcząc go po plecach. Potem powoli położył ją na materacu, po czym wyciągnął się obok. Nie przerwał pocałunku, unosząc T-shirt i kładąc rękę na jej brzuchu. Miała gładką ciepłą skórę. Przesunął rękę wyżej, aż natknął się na piersi. Madeleine oderwała od niego wargi i zakryła jego dłoń swoją.

- Dotknij mnie - szepnęła.

Była zaczerwieniona, źrenice miała tak powiększone, że niemal pochłaniały otaczające je tęczę. Jej wargi nabrzmiały, ciemnoróżowe od pocałunków.

- Kochanie - odrzekł - bardzo chcę cię dotknąć, ale nie chcę się spieszyć.

- To dotknij mnie powoli.

Nie potrzebował dalszej zachęty. Chwycił brzeg jej T-shirtu i pociągnął go do góry. Usiadła, by mu pomóc. Potem rozpięła stanik, który spadł jej na kolana. Colton wstrzymał oddech, podziwiając piersi i kremową skórę. Miodowe włosy opadały na ramiona Maddie.

- Jesteś piękna - rzekł i niewiele myśląc, dotknął jej piersi, a ona gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Proszę - powiedziała, patrząc mu w oczy.

Nie mógł jej odmówić. Położył ją znów na plecy.

- Powiedz mi, czego chcesz, co lubisz.

Przyciągnęła go do siebie. Język Maddie był słodki i gorący, jej piersi pod jego palcami nabrzmiwały. Obsypywał pocałunkami jej szyję, linię obojczyka, aż dotarł do dekoltu. Ujął jedną pierś i drażnił kciukiem, obserwując różowy czubek. Kiedy pochylił głowę, by wziąć go do ust, Maddie chwyciła go za włosy i trzymała mocno, by się nie odsunął.

Po chwili powędrował wargami w dół, na brzuch, jednocześnie rozpinając jej spodnie. Na moment podniósł wzrok i spojrzał na piersi, które szybko unosiły się i opadały.

- Pomóc ci? - spytała.

W odpowiedzi pociągnął w dół suwak i musnął językiem odsłoniętą skórę. Zsunął dzinsy z jej bioder.

- Nareszcie - mruknął i pocałował ciemny trójkąt, który dojrzał przez koronkę fig.

- Co nareszcie?

Uniósł głowę i spotkał się wzrokiem z Maddie.

- Widzę cię całą - odparł. - Miniona noc była fantastyczna, ale dla mnie za ciemna.

- A właśnie miałam poprosić, żebyś zgasił światło.

- Wykluczone - burknął i zdjął jej tenisówki. - Ściągaj te spodnie.

Zaśmiała się. Colton zdał sobie sprawę, że dotąd nie słyszał jej radosnego śmiechu. Wyglądała tak seksownie, że chętnie zapomniałby o swoich obietnicach i wziął ją natychmiast. Tymczasem Maddie przyciągnęła go i przytrzymała nogą.

- Teraz moja kolej. - Zaczęła mu zdejmować T-shirt.

Chwycił materiał w garść, szarpnął i rzucił T-shirt na podłogę obok jej spodni. Nagrodziła go pieszczotą.

- Jesteś zachwycający.

Zaśmiał się zażenowany.

- To ja tak powinienem mówić - odrzekł i znów zaczął ją całować.

Uniosła się, obejmując go ramionami. Tym razem, gdy przesunęła dłonie do jego rozporoka, nie powstrzymywał jej. Wsunęła palce za pasek spodni i bokserek i mocno pociągnęła w dół. Colton zrzucił buty.

Wodziła po nim wzrokiem, zatrzymując się na jego członku. Kiedy Colton się nad nią nachylił, ujęła go w dłoń. Colton z trudem się kontrolował. Kolanem rozsunął jej nogi i umościł się między nimi, opierając się na łokciach. Kiedy jednak chciała mu pomóc, cofnął się.

- Poczekaj. - Wstał i w pośpiechu przeszukał plecak, po czym wyjął z niego prezerwatywy.

Na nocnym stoliku położył kilka pojedynczych opakowań.

- Kupiłem je dzisiaj - oznajmił i znów się pochylił.

Madeleine się uśmiechnęła.

- Jesteś pewny siebie.

- Nie, kochanie. Miałem tylko nadzieję. - Opuścił rękę do złączenia jej ud. Zapraszająco rozsunęła nogi. Delikatnie odsunął jej figi i z satysfakcją przekonał się, że jest już wilgotna. Wierciła się pod nim niecierpliwie.

- Chcę cię znów spróbować - oznajmił.

- Colton...

- Cii. - Przesunął się na skraj łóżka i zsunął jej figi. Już nie protestowała, lecz gdy została całkiem naga, zacisnęła kolana. - Madeleine - rzekł łagodnie. - Pozwól mi.

Zakryła twarz.

- Zgaś światło.

- Okej. - Wstał, podszedł do drzwi, zamknął je na klucz i wyłączył światło.

Potem jednak zapalił światło w łazience i zostawił szparę w drzwiach.

Całował Maddie, aż się uspokoiła i znów go objęła. Gdy zaczęła unosić biodra, wsunął między nich rękę. Tym razem się otworzyła, a on poczuł jej gorąco i miękkość. Zacisnęła palce na jego członku i z wahaniem, a potem coraz śmieiej zaczęła go pieścić.

- Wejdz we mnie.

- Za moment - obiecał i wsunął w nią palec.

Wciągnęła powietrze i przeniosła swój palec na wilgotny koniec jego członka. Colton kontynuował pieściznę, zastępując palec językiem, by po chwili znów zatonać palcem w tym gorącym miejscu. Podniósł wzrok i zobaczył, że Maddie oparła się na łokciach i patrzyła na niego nieprzytomnym wzrokiem.

- Przestań - błagała. - Bo nie wytrzymam.

Z ociąganiem przesunął się do góry. Zarzuciła mu ręce na szyję.

- Byłam tak blisko - szepnęła - ale tym razem chcę to zrobić z tobą.

Sięgnął po prezerwatywę. Kiedy chciał zębami rozerwać opakowanie, Maddie go powstrzymała. Spojrzał na nią, ledwie skrywając zniecierpliwienie.

- Jeśli nie znajdę się w tobie w ciągu pięciu sekund, to ja nie wytrzymam.

Ku jego zdumieniu pchnęła go na poduszki.

- Będziesz we mnie, tylko nie tak, jak myślisz.

Pocałowała go w usta, a potem przesuwiała w dół jego ciała, wciąż zaciskając palce na jego członku. Wiedział, do czego zmierza.

- Maddie, nie musisz tego robić.

Uniosła głowę i uśmiechnęła się szeroko.

- Wiem, ale chcę. - Gdy wysunęła język, zadrżał. - Podoba ci się? - spytała.

- Tak - wykrztusił.

Chwilę potem zacisnął zęby. Samo patrzeć na Maddie było podniecające. Jeszcze przez jakąś minutę pozwolił jej działać.

- Chodź tu - rzucił wreszcie i położył ją na sobie. - Jak nie przestaniesz, zaraz skończymy.

Z uśmiechem pogłaskała kciukiem jego wargę.

- Tego akurat nie chcemy. - Otarła się o niego.

Przerzucił ją na plecy i przygniótł swoim ciężarem.

Otworzył opakowanie z prezerwatywą i zabezpieczył się, lecz nie od razu w nią wszedł.

- Jesteś pewna?

- Chryste, tak. Odkąd mnie przypiąłeś kajdankami.

- Więc kajdanki cię podniecają? Zapamiętam.

Objęła go nogami.

- Tylko kiedy ja ci je zakładam.

W odpowiedzi położył jej ręce za głowę i wargami muskał piersi. Wiła się pod nim, próbowała się uwolnić.

- To cię nie podnieca? - Zębami chwycił koniuszek jej ucha.

- Nie... Proszę...

Tym razem, rozchyliwszy jej uda, wsunął się w nią. Zaciskała się na nim, gorąca i jedwabista. Puścił jej ręce i oparł się na łokciach. Chwyliła go za pośladki.

- Szybciej.

Zdobywał ją coraz szybciej i gwałtowniej. Był już blisko, ale z jej miny widział, że jej czas nie nadszedł. Zmienił pozycję i przyspieszył, a ona niemal natychmiast krzyknęła i zacisnęła się na nim tak mocno, że teraz on krzyknął. Przez kilka długich chwil nie był w stanie się ruszyć. Ciszę wypełniały ich urywane oddechy. Madeleine głaskała go po plecach. Colton powoli wracał na ziemię. Stoczył się z niej, ciągnąc ją za sobą.

- W porządku?

- Było... fantastycznie - odparła sennym głosem.

Musiał się z nią zgodzić. Nie pamiętał takiego seksu, ale jakaś jego część wydawała się tym przerażona. Rano tylko mu się zdawało, że oszalał na punkcie Maddie, teraz był tego pewien.

Przykrył ich kołdrą. Maddie pocałowała go w pierś, tam, gdzie biło jego serce.

- Nie pozwól mi zasnąć.

- Czemu?

- Bo inaczej mnie zostawisz. - Ziewnęła.

- Śpij. Jak cię obudzę za parę godzin, to nie po to, żeby się pożegnać.

Kiedy się przebudziła, była w łóżku sama. W pokoju panował półmrok, ale za oknem widziała już zapowiedź dnia. Gdy chciała zerknąć na zegarek na szafce, przekonała się, że ręce ma za głowę przypięte kajdankami.

Co gorsza Colton nie tylko przypiął ją do łóżka, ale zostawił ją nagą. Koce spadły na podłogę.

Zostawił ją i pojechał realizować swój plan ratowania jej brata. Nie mogła uwierzyć, że to zrobił.

Wściekła, miała ochotę krzyżeć, a jednocześnie płakać. Opadła na poduszki. Nie miała pojęcia, jak wyjaśni swój stan matce Coltona, ale coś wymyśli. Bóg wie, że była w gorszych opałach.

- No, no, ładny widok - odezwał się męski głos.

Gwałtownie odwróciła głowę. W drzwiach sypialni ujrzała Coltona z dzbankiem kawy. Ulga była tak wielka, że na chwilę opadła z sił i tylko bezradnie patrzyła.

Nie zostawił jej. Leniwie wodził po niej wzrokiem.

Zabrzęczała kajdankami.

- W tej chwili mnie uwolnij.

Zamknął drzwi i postawił dzbanek na nocnej szafce. Ignorując jej złość, usiadł na brzegu łóżka.

- Teraz wiesz, jak to jest obudzić się przykutym.

- Przepraszam cię. - Znów szarpnęła za kajdanki. - Uwolnij mnie. Która godzina?

- Dochodzi piąta, a ty nigdzie się stąd nie ruszysz. - Nawinał kosmyk jej włosów na palec. - Musisz mi zaufać, Madeleine.

Patrzyła na niego bacznie.

- Ufam ci.

- Nie jestem pewien.

- Już powiedziałam, że ci ufam - oznajmiła.

- Więc rób, co ci każę.

Nie podobało jej się to oczekiwanie. Źle się z tym czuła. Colton spojrzął jej w oczy.

- Połóż się, Madeleine.

Nim wypowiedział jej imię, już ją całował, pieścił jej piersi, brzuch i biodra. Mogła jedynie ocierać się o niego, choć ona także chciała go dotykać.

- Uwolnij mnie - powtórzyła.

Poczuła jego uśmiech. Zaraz potem zsunął się w dół jej ciała, wsunął rękę między jej nogi i zagłębił w niej palec. Gdy wsunął w nią dwa palce, zabrakło jej tchu.

- Powiedziałaś chyba, że kajdanki cię nie podniecają - szepnął. - Cieszę się, że się myliłaś.

Po tych słowach językiem i wargami doprowadził ją niemal do szaleństwa. Przestała z nim walczyć, przyznając, że tego właśnie chciała. Czuła się przy nim piękna i seksowna, i była tak podniecona, że wiedziała, iż długo to nie potrwa.

Pożądanie, skupione najpierw w jednym miejscu, rozlało się po całym jej ciele, aż wybuchło niczym fajerwerki. Usłyszała swój okrzyk, ale Colton nie przestawał. Dopiero gdy nie była w stanie się ruszyć, położył się obok niej. Sięgnął pod poduszkę i wyjął mały kluczyk. Zdjął kajdanki, potem wziął ją w ramiona.

- Powiedz mi to.

Nie musiała pytać, o co mu chodzi.

- Ufam ci.

- Więc nie będziesz się kłócić, kiedy powiem, że nie możesz jechać ze mną do Reno.

Spojrzała mu w oczy. Choć wciąż widziała w nich podniecenie, patrzył na nią nieubłaganie.

Uwolniła się z jego objęć i przyciskając do siebie koc, usiadła i opuściła nogi na podłogę.

- Nie ma sprawy. - Siłą woli wstała i znów na niego spojrziała. Rozciągnięty na łóżku wyglądał fantastycznie. Odchrząknęła, bo miała ściśnięte gardło. - Mogę to zrobić bez ciebie. Nie potrzebuję cię.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Poczuł bolesny ucisk w piersi. Wiedział, że nie mówiła tego poważnie, mimo to poczuł żal. Nadal mu nie ufała. Usiadł na skraju łóżka.

- Spróbuj zrozumieć. To zbyt ryzykowne. Nie wiesz, do czego ci ludzie są zdolni. To siatka przestępcza, która działa w całym kraju. Podejrzewa się ich co najmniej o cztery zabójstwa.

Zmierzyła go wzrokiem. Zastanawiał się, czy miała świadomość, jak oszalamiająco wygląda.

- Jeśli to prawda, mowy nie ma, żebym tu została - oznajmiła. - To mój brat. Nic mnie nie powstrzyma, żeby być w Reno o dziesiątej rano.

Colton wstał. Mocniej ścisnęła koc, ale się nie cofnęła, tylko uniosła głowę.

- I co wtedy? - spytał. - Jak im zapłacisz?

W jej orzechowych oczach ujrzał cień niepokoju, ale się od niego odwróciła i zbierała z podłogi ubrania.

- Ubierz się spokojnie - rzekł w końcu. - Już cię widziałem nagą.

- Tak - mruknęła, wciągając dzinsy i T-shirt. - Śpisz ze mną i oczekujesz, że będę ci ufała, a cały czas chcesz mnie tu zostawić. - Zaśmiała się gorzko. - Mogłam wygrać pieniądze, a tymczasem tylko tracę czas.

Sugestia, że seks tak niewiele dla niej znaczył, zabolęła Coltona. Złapał ją za rękę.

- Ta noc to dla ciebie strata czasu?

Maddie mu się wyrwała.

- Chyba lepiej nazywać rzeczy po imieniu.

W oczach Maddie dojrzał strach. Zrozumiał, że jej słowa to tylko zasłona, za którą skrywa prawdziwe uczucia, i jego złość się ulotniła. Była przerażona, nie tylko sytuacją brata, ale też podejrzeniem, że Colton ją wykorzystał.

- Nigdy nie wygrałabyś dość, żeby spłacić dług. Ochroniarze zwrócili na ciebie uwagę. Nie wpuściliby cię do żadnego kasyna.

- Może - przyznała - ale nie mogę siedzieć beczynn timer - rzekła zrozpaczona. - Zwariuję, jak mnie tu zostawisz. To mój brat.

Chciał ją przytulić, ale wiedział, że by go odepchnęła. Była bliska porzucenia go i wzięcia sprawy w swoje ręce. Aiden i Siyota byli już na miejscu. Myśl, że Maddie znalazłaby się w pobliżu starej kopalni, napelniała go strachem. Uznał, że przekona ją tylko w jeden sposób: mówiąc prawdę.

- Madeleine - zaczął, przyciągając ją do siebie. - Ta noc była fantastyczna. - Patrzył jej w oczy. - Znamy się krótko, ale zaczynam myśleć, że to los chciał, żebym został twoim zakładnikiem.

- Co masz na myśli?

- To, że trafiłaś akurat na mnie, kogoś, kto zna ludzi, z którymi mamy do czynienia. Nie chcę, żebyś się tam znalazła.

Próbowała uwolnić się z jego objęć.

- Kochanie. - Podniósł palcem jej brodę, zmuszając ją, by na niego spojrzała. - Chyba się w tobie zakochuję, ale jeśli pozwolę ci jechać do kopalni i coś ci się stanie, nie będziemy mieli szansy przekonać się, jak by nam było razem.

Patrzyła na niego zaskoczona. Odniósł wrażenie, że jej oczy wypełniły się łzami.

- Colton - odezwała się w końcu - tyłu rzeczy o mnie nie wiesz.

Przytulił ją mocno.

- Wiem wszystko, co trzeba, na przykład, że jesteś gotowa ryzykować dla tych, których kochasz. Wiem, co robiłaś, jak byłaś młodsza i że nie jesteś z tego dumna, ale wiem też, że robiłaś to dla rodziny. Uważam, że niepotrzebnie ryzykujesz, ale rozumiem dlaczego.

Teraz już niewątpliwie miała łzy w oczach.

- Nie wiem, co powiedzieć. Jeśli ci ludzie są tacy źli, czemu sądzisz, że chciałabym, żebyś ty się narażał?

Uśmiechnął się krzywo.

- Czy w ten sposób chcesz mi powiedzieć, że nie jestem ci całkiem obojętny?

Zaśmiała się i stanęła na palcach, by go pocałować.

- Pokażę ci, że nie jesteś mi obojętny. Ile mamy czasu?

- Za godzinę musimy ruszać.

- Świetnie. - Objęła go i pociągnęła w stronę łóżka.

Siedziała na miejscu pasażera i machała przez okno do matki Coltona, wciąż oszołomiona wydarzeniami minionego dnia i ciepłym przyjęciem jego rodziny. Ale przede wszystkim nie mogła zapomnieć tego ranka. Jeśli miała wątpliwości co do uczuć Coltona, ten ranek je rozwiązał. Colton kochał się z nią jednocześnie czule i namiętnie. Gdy w końcu pozwolił jej z nim jechać, odetchnęła.

Jej uczucia do niego były dotąd burzliwą mieszanką pożądania i irytacji. Dopiero gdy zdała sobie sprawę, że Colton ryzykuje życie dla jej brata, zrozumiała, jak bardzo jest jej drogi. Znali się ledwie kilka dni, ale szybko stał się centrum jej świata. Nikt nie dał jej takiego poczucia bezpieczeństwa, nikt nie był jej tak bliski, aż ogarnęły ją wyrzuty sumienia, że myśli głównie o nim, a nie o losie brata.

- Pozwoliłem ci jechać pod warunkiem, że będziesz robić to, co powiem. - Spojrzał na nią znacząco. - Zrozumiałaś?

- Tak. Zrobię, co każesz. - Skinęła głową.

Mówiła szczerze. Była wdzięczna, że zgodził się ją zabrać.

- Nie podoba mi się, że ci dranie choćby rzucają na ciebie okiem - burknął.

- Będą tam twoi przyjaciele z policji - odparła. - Sam powiedziałaś, że mają dobry plan.

- Doświadczenie nauczyło mnie spodziewać się niespodzianek.

Nie dopuszczała myśli, że coś pójdzie nie tak. Czuła napięcie Coltona, wiedziała, że wciąż główkował, jak dokonać wymiany bez jej udziału.

- Jak nazwała mnie twoja matka przy pożegnaniu? - zapytała. - Wypowiedziała moje imię w języku Szoszonów.

- Tadita. - Zerknął na nią, a ona poczuła, jakby zajrzał w głąb jej duszy. - Ta, która ucieka.

- Aha. A jak brzmi twoje imię w języku Szoszonów?

- Kajika. To znaczy Idący Bezgłośnie.

Zaśmiała się.

- No, no, trafione.

- Moje czy twoje?

- Oba. Mam wrażenie, że od dziecka uciekam.

Colton przykrył jej dłoń swoją.

- Nie sądzisz, że pora się zatrzymać?

- Próbuję. Tak często sobie powtarzam, że jestem szanowanym obywatelem, że prawie w to uwierzyłam.

Colton ścisnął jej rękę.

- Widziałem najgorszą stronę ludzkiej natury i zapewniam cię, że jesteś więcej niż szanowanym obywatelem.

Była mu wdzięczna za te słowa, ale gdy myślała o swoim dorastaniu, a nawet obecnych kłopotach brata, nie była pewna, czy mu wierzy. Ciężko pracowała na swą pozycję, lecz czasami czuła, że jej życie to oszustwo. W końcu ktoś to odkryje, a wtedy wszystko straci.

- A jeśli ci powiem, że lubię wygrywać w blackjacka? - spytała. - Że jakaś część mnie tęskni za takim życiem?

- Odparłbym, że nie jesteś szczerą. Naprawdę pragniesz takiego życia? Dla siebie czy dla brata?

- Nie - przyznała. - Ale martwię się, że nie mogę mu dać dość.

- On ma dwadzieścia lat. Dałaś mu bardzo dużo. Najlepsze, co możesz zrobić, gdy go uwolnimy, to porządnie zmyć mu głowę.

Maddie się zaśmiała. Od obrzeży Reno dzieliło ich kilka kilometrów, kiedy Colton zjechał z autostrady na parking przy warsztacie samochodowym.

- Co robisz? - zapytała.

- Zamieniamy samochód - odparł, patrząc na zegarek. - Kiedy zadzwonisz, zawiozę cię do kopalni.

Otworzył schowek na rękawiczki i wyjął z niej rewolwer.

- Cały czas tu był? - zapytała.

Colton rzucił jej poważne spojrzenie, sprawdził magazynek i wsunął rewolwer za pasek.

- Tak.

- Nawet tamtej nocy, kiedy wzięłam samochód?

- Tak. Dlatego tak rozpaczliwie cię szukałem.

- Tylko dlatego?

Nie patrzył na nią, sięgnął za siedzenie i podał jej kamizelkę kuloodporną, ale dojrzała jego lekki uśmiech.

- Włóż to.

- Czy to jest to, co myśłę? - Głos ją zdradził, nie potrafiła ukryć strachu.

- To dla twojego bezpieczeństwa. Powinnaś ją włożyć pod ubranie, więc zdejmij T-shirt.

Zdjęła T-shirt, a Colton pomógł jej zapiąć kamizelkę.

- Ciężka.

- Przestań narzekać. Może ci uratować życie.

- A ty? Też włożysz kamizelkę?

Zamiast odpowiedzieć, wyjął spod siedzenia plecak i rzucił go na kolana Maddie.

- Przyda ci się.

- Co tam jest? - Zajrzała do środka i głośno wciągnęła powietrze. - Skąd to masz?

- A jak twoim zdaniem zamierzaliśmy uwolnić twojego brata? - zapytał, unosząc brwi.

Zmarszczyła czoło.

- Nie prosiłam cię o pieniądze.

- Nie.

- Więc to pożyczka z twojego biura? Colton wzruszył ramionami.

- Nie chcę, żebyś miał kłopoty, gdyby coś nie wypaliło i straciłbyś pieniądze.

Ku jej zdumieniu się uśmiechnął.

- Nie stracę pieniędzy. - Spoważniał. - Pora, żebyś zadzwoniła.

Spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Dziesiąta. Wyjęła telefon, serce jej waliło. Patrząc na Coltona, wybrała numer.

- Gdzie jesteś? - warknął męski głos.

- Ja... Na przedmieściach Reno - wydukała.

- Jedź autostradą 80 do zjazdu 99. Potem osiem kilometrów na północ, aż zobaczysz skręt do opuszczonej kopalni srebra. Jedź drogą do kopalni, ale nie wjeżdżaj tam. Zaparkuj przy bramie i resztę drogi idź piechotą. Sama. Będziemy cię obserwować. - Rozłączył się.

Maddie zadrżała.

- Będę tam. - Colton ją przytulił. - Niczego nie zrobisz sama, okej?

- Nie możesz ze mną jechać. To zbyt niebezpieczne.

Uniósł jej twarz i spojrzał jej w oczy.

- Maddie, kiedy wreszcie mi zaufasz? Zaczerwieniła się.

- Może potrzebna mi kolejna lekcja budowania zaufania - zasugerowała nieśmiało.

- Z przyjemnością. - Pocałował ją. - Zaczniemy dziś wieczorem. Teraz do roboty.

Skinęła głową. Colton specjalizował się w przechytrzeniu przestępców, musi mu zaufać. Wysiadła z samochodu z plecakiem. Colton przykucnął i spod zderzaka drugiego samochodu wyjął kluczyki. Otworzył drzwi i pokazał jej, że ma prowadzić.

- Wyszadzisz mnie jakieś osiemset metrów przed bramą. Potem zaparkujesz przy bramie, przejdiesz dwadzieścia kroków, rzucisz plecak na ziemię i wrócisz do samochodu. Zrozumiałaś?

Ściągnęła brwi.

- Nie powinnam poczekać, aż go przyprowadzą?

- Nie. Masz zostawić pieniądze i wrócić do samochodu. - Widząc jej minę, dodał: - Mówię poważnie.

- Okej - odparła niechętnie. - Gdzie będziesz?

- Tam, skąd będę mógł chronić ciebie i Jamiego. - Jego ton mówił jej, że im mniej będzie wiedziała, tym lepiej.

- Uważaj na siebie.

Wiedziała, że Colton ma obawy co do tego przedsięwzięcia, a zwłaszcza jej roli, ale on też musi jej zaufać. Nie zamierzała tego zepsuć, bo stawka była zbyt wysoka.

Do skrętu do kopalni jechali w milczeniu. Serce Maddie łomotało. Zerknęła na Coltona.

- Twój brat wyjdzie z tego cało - zapewnił ją. - Rzuć plecak na ziemię i wracaj do auta. Żadnych popisów.

Kiwnęła głową. Miała spocone dłonie. Wyobrażenia podpowiadała jej czarne scenariusze. Wkrótce dojrzała nadgryziony zębem czasu drogowskaz do kopalni. Droga zwężała się, aż stała się zrytą koleinami ścieżką. Usiany karłowatymi drzewami i bylicą krajobraz, potężne głazy i skały tworzyły posępną atmosferę. Klimat beznadziei.

- Wysadź mnie tu - odezwał się Colton.

Maddie zwolniła, a on na nią spojrzał.

- Wszystko będzie dobrze - obiecał.

Odprowadzała go wzrokiem, aż zniknął za linią skał.

Wzięła głęboki oddech i ruszyła dalej, aż dotarła przed ogrodzenie z łańcucha. Droga za bramą prowadziła do kompleksu budynków. Największy wyglądał, jakby go zbudowano przed stu laty, pochylał się niebezpiecznie w jedną stronę. Dalej znajdowało się wejście do kopalni, składające się z pionowego szybu i rozpadającego się budynku. Cała ta kopalnia wyglądała jak upiorne wspomnienie Dzikiego Zachodu. Miała w sobie coś złowrogiego.

Gdy Maddie wysiadła z samochodu, odniosła dziwne wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Zarzuciła na ramię plecak i ruszyła za bramę. Spod jej stóp unosiły się tumany kurzu, słońce paliło jej głowę i ramiona. Kamizelka kuloodporna była ciężka, pot spływał między piersiami. Otaczała ją niesamowita cisza. Chciała się obejrzeć, sprawdzić, czy wypatrzy Coltona albo któregoś z jego kolegów, ale zabrakło jej odwagi.

Gdy szła wzdłuż pierwszego budynku, starej drewnianej konstrukcji, zdawało jej się, że za brudną szybą dojrzała jakiś ruch. Myśl, że ktoś ją obserwuje - ktoś, kto może ją skrzywdzić - była nie do zniesienia, mimo to szła dalej jakby nigdy nic.

Dotarła do miejsca, gdzie Colton kazał jej rzucić plecak i zawrócić, ale jej uwagę przyciągnął główny budynek, skąd słyszała podniesione głosy.

Ostrożnie zrobiła kilka kroków, a wtedy drzwi gwałtownie się otworzyły i wypchnięto przez nie Jamiego. Oślepiony przez słońce, potykając się, szedł ku niej, aż padł na kolana. Ręce miał związane za plecami, jedno oko zamknięte. Mimo odległości widziała spuchniętą i posiniaczoną twarz. Z ran na twarzy i szyi na brudną i podartą koszulę sączyła się krew. Pochylił jasną głowę, kołysząc się, jakby miał zemdleć.

Zapominając o instrukcjach Coltona, ruszyła biegiem w jego stronę. W tym momencie usłyszała strzały. Raptownie się zatrzymała, nie mogąc oderwać wzroku od Jamiego.

- Przestańcie. Nie skrzywdźcie jej! - krzyczał Jamie. Jego łzy mieszały się z krwią i brudem. Zaczął się do niej czołgać. - Nie skrzywdźcie jej, proszę.

- Jamie, zostań tam - zawołała przerażona.

Z budynku wyłonili się dwaj mężczyźni. Jeden trzymał chyba półautomat, drugi pistolet. Obaj byli potężni, Maddie oceniła ich na trzydzieści kilka lat. Ten z pistoletem w nią celował, drugi się rozglądał.

- Rzuć plecak - krzyknął pierwszy mężczyzna, a Maddie rozpoznała głos rozmówcy z telefonu.

Była pewna, że przy najmniejszej prowokacji zabiłby i ją i Jamiego. Zanim jednak cokolwiek zrobi, musi się przekonać, że brat będzie wolny.

- Pozwólcie mi podejść do niego - odparła nienaturalnie wysokim głosem.

- Powiedziałem rzuć plecak, suko, albo sam go wezmę.

Serce Maddie waliło. Jamie patrzył na nią wykrzywiony z bólu. Próbowwała mu bez słów powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Powoli zsunęła z ramienia plecak, a potem podniosła rękę.

- Otwórz go i pokaż, co jest w środku - rozkazał mężczyzna.

Przyklękła, otworzyła plecak i przechyliła go w stronę mężczyzny.

- Pięćdziesiąt tysięcy dolarów - oznajmiła. - A teraz pozwólcie mi podejść do brata.

Jamie wciąż klęczał, pojękując.

- Jeden krok i strzelam - warknął mężczyzna. - Zostaw plecak i cofnij się.

Na myśl o tym, co mogą zrobić Jamieemu, serce omal nie pękło jej ze strachu. Zamiast ich posłuchać, wciąż trzymała plecak.

- Nie dostaniecie pieniędzy, dopóki nie uwolnicie brata. Pozwólcie mi odprowadzić go do samochodu.

Mężczyzna bez ostrzeżenia podszedł do Jamiego i uderzył go kolbą w zębra. Jamie jęknął i próbował się podnieść, ale mężczyzna znów go uderzył. Jamie upadł twarzą na ziemię.

- Nie! - Maddie poderwała się na nogi. Pierwszy mężczyzna uniósł pistolet i nacisnął spust.

Zdawało jej się, że czas zwolnił. Zza budynku wyłoniła się ciemna postać i w chwili, gdy padł strzał, powaliła mężczyznę na ziemię,

Colton. Skąd się tu wziął? Drugi z porywaczy obrócił się, celując w dwóch siłujących się na ziemi mężczyzn. Niemal natychmiast powietrze rozdarły kolejne strzały, tym razem z dachu budynku, trafiając go w ramię, a potem w nogę. Z krzykiem padł na ziemię i chwycił się za kolano, porzucając broń.

Maddie podbiegła do Jamiego i zasłoniła go swoim ciałem. Na dachu widziała kilka postaci, kolejne wyłaniały się zza budynku. Ze strachem przeniosła wzrok na dwóch mężczyzn zwartych na ziemi w walce na śmierć i życie.

Colton leżał na plecach. Maddie dojrzała rewolwer, o który walczyli, aż rozległ się ogłuszający strzał i obaj znieruchomieli.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wstrzymała oddech i czekała, aż Colton zepchnie z siebie przeciwnika i usiądzie, ale żaden z nich się nie ruszał.

- Colton... - Zostawiła Jamiego i pobiegłaby do Coltona, gdyby ktoś jej nie chwycił.

- Powoli, Madeleine. - Głos był znajomy.

Odwróciła głowę i zobaczyła poważne oczy.

- Aiden...

- Zostań z bratem, aż się upewnimy, że teren jest czysty.

- Ale Colton...

- Zajmiemy się nim. Zostań tu.

Mówił tonem nieznoszącym sprzeciwu. Maddie powoli orientowała się, co się wokół dzieje. Mężczyź- nie z półautomatem zakładano kajdanki, nie zwracając uwagi na jego rany i błaganie o pomoc medyczną. Dwóch innych właśnie wyciągnięto z budynku w kajdankach. Maddie rozpoznała Siyotę i kilku mężczyzn z rezerwatu. Co najmniej sześciu nosiło charakterystyczne policyjne kamizelki.

- Cały czas tu byliście - zauważyła. - Na dachu, w przybudówkach.

- Tak - potwierdził Aiden. - Od wczoraj.

Cichy jęk kazał Maddie się odwrócić. Jamie usiłował uklęknąć, jeden z policjantów uwolnił jego rękę. Brat pocierał poranione nadgarstki.

- Och, Jamie. - Maddie przyklękła obok niego. - Co ty myślałeś?

- Przepraszam - wymamrotał. - Bardzo przepraszam.

- Dzięki Bogu jesteś bezpieczny. Tylko to się liczy.

Jamie odsunął się i spojrzał na nią.

- Jak ci się to udało? Skąd wzięli się ci ludzie?

- Później ci wyjaśnię. Wszystko gra?

Skinął głową, a Maddie go uściskała.

- W życiu się tak nie bałam. - Przyjrzała się jego twarzy. - Co oni ci zrobili?

- Zasłużyłem na to - odparł. - Bili mnie, ale przeżyję. Dzięki Bogu, że jesteś. Chybaby mnie zabili, gdybyś nie przywiozła pieniędzy.

- Pojedziemy do szpitala. Zaczekaj chwilę, dobrze? Zaraz wracam.

Gdy z wahaniem ruszyła naprzód, Aiden z kolegą stoczyli z Coltona ciało mężczyzny. Porywacz bez życia padł na plecy. Oczy miał otwarte, ale niewidzące.

Aiden pochylił się nad Coltonem, sprawdził puls. Maddie patrzyła ze ściśniętym gardłem, a potem opadła obok na kolana. Twarz Coltona była śmiertelnie blada.

Kiedy policjant rozpiął mu koszulę, zobaczyła, że T-shirt był przesiąknięty krwią. Colton leżał w kałuży krwi.

Nie miał na sobie kamizelki. Krwawił z niewielkiej dziury tuż nad kością biodrową. Maddie zakręciło się w głowie, odwróciła wzrok.

- Niech ktoś ją stąd zabierze - burknął policjant, tamując krwawienie.

Odwróciła się znów i pokręciła głową.

- Nie, proszę. Chcę z nim zostać. - Położyła rękę na piersi Coltona. - Muszę z nim zostać.

Policjant spojrzał na nią ostro.

- Pani jest Madeleine Howe?

Kiwnęła głową. Mężczyzna miał krótkie włosy i kwadratową szczękę. Jego oczy przypominały hartowane szkło. Budził respekt.

- Jason Cooper - przedstawił się. - Black jest moim zastępcą. Gdyby to ode mnie zależało, pierwszego dnia kazałbym panią aresztować. Prawdę mówiąc, poleciłem Blackowi, żeby panią doprowadził, ale się upierał, że pani potrzebuje pomocy.

Nie stwierdził wprost, że to z jej winy Colton został postrzelony, ale słyszała te niewypowiedziane słowa. Czuła się winna. Colton nie zamierzał jej zabrać do kopalni, dlatego nie miał dwóch kamizelek. Kiedy w końcu pozwolił jej jechać, dał jej swoją kamizelkę i sam pozostał bezbronny.

Trafiła go kula, która była przeznaczona dla niej. Powinna była trzymać się planu i wrócić do samochodu. Teraz z powodu jej głupoty Colton leży ranny, być może umierający. Myśl, że może go stracić, była potwornie bolesna.

- Czy on przeżyje? - Głos jej drżał, nie mogła opanować łez.

Ujęła dłoń Coltona, w oddali słyszała wycie syren.

- Stracił dużo krwi. Podejrzewam, że kula uszkodziła arterię - odparł Cooper. - Karetka już jedzie.

Maddie tylko skinęła głową, widziała jak przez mgłę.

- Jak pani brat? - spytał Cooper.

Zdała sobie sprawę, że o nim zapomniała, zamartwiając się o Coltona. Z ulgą zobaczyła, że Siyota się nim zajął.

- Jest poobijany, ale żyje - odparła. - Dzięki panu i pana ludziom.

Trzy karetki i dwa wozy policyjne minęły właśnie bramę, unosząc tumany pyłu. Zatrzymały się przy wejściu do budynku. Ratownicy natychmiast zaczęli badać Coltona i próbowali zatamować krwawienie. Maddie przyklękła obok brata i otoczyła go ramieniem. Nigdy nie czuła się tak bezradna.

Ratownicy założyli Coltonowi maskę tlenową i podłączyli mu kroplówkę, po czym przenieśli go na nosze.

- Chcesz z nim jechać? - spytał Jamie.

Maddie zmusiła się do uśmiechu.

- Nie, chcę jechać z tobą.

Pomogła bratu wstać, gdy ratownicy podeszli go zbadać, i poszła z nim do drugiej karetki. Nie spuszczała wzroku z Coltona, który nieco dalej leżał wciąż na noszach.

Cooper odciągnął ją na bok. Niósł plecak z pieniędzmi, zamknięty już na zamek, z jasnożółtą przywieszką z napisem US Marshal.

- Brat pani potrzebuje, pani Howe - rzekł cicho. - Przeżył traumę. Zbadamy go w szpitalu, ale potem będę musiał go przesłuchać. Aiden pojedzie z Coltonem.

- Zabiorą brata do tego samego szpitala co Coltona?

- Tak. Chcę pani podziękować. Dzięki pani pomocy zatrzymaliśmy trzech członków gangu rodziny Canterinów i wyeliminowaliśmy czwartego. Wreszcie mamy dowody, żeby ich skazać.

- Nie moja w tym zasługa - odparła. - Powinien pan podziękować Coltonowi, Aidenowi i innym.

Patrzyła na odjeżdżającą karetkę z Coltonem. Kochała go. Ta myśl była tak niespodziewana, a jednocześnie tak oczywista, że Maddie omal się nie zachwiała.

- Nic pani nie jest? - Cooper spojrzał na nią z troską.

- Nic, dziękuję - skłamała. Gdyby Colton umarł, jakaś jej część też by umarła.

- No to jedźcie do szpitala - rzekł i pomógł jej wsiąść do karetki. - Porozmawiamy później.

Usiadła obok Jamiego. Cooper zamknął drzwi, a po chwili Maddie widziała przez okno malejącą sylwetkę, aż karetka skręciła i Cooper zniknął.

Zdawało się, że jazda do szpitala trwa wiecznie, choć nie minęło więcej jak dwadzieścia minut. Jamiego od razu zabrano na badania, a Maddie poszła szukać Coltona. Na piętrze w poczekalni ujrzała Aideną, który rozmawiał cicho przez komórkę. Na jej widok zakończył rozmowę, podszedł i ją objął.

- Cześć - powiedział. - Wszystko w porządku?

Kiwnęła głową.

- Gdzie on jest? Mogę go zobaczyć?

- Jest na bloku operacyjnym.

- Źle z nim? - Głos jej zadrżał. - Wyjdzie z tego?

Aiden przetarł oczy.

- Nie rozmawiałem z lekarzami, od razu wzięli go na blok.

- Zaczekam z tobą chwilę.

- A co z bratem?

- Jest odwodniony, lekarze mówią, że może mieć pęknięte żebra, ale dojdzie do siebie. Zabrali go na prześwietlenie. Zatrzymają go na obserwację.

- Chcesz coś do picia? Wody albo kawy?

- Nie, dzięki. - Niczego by nie przełknęła.

Opadła na krzesło i schowała twarz w dłoniach.

Aiden usiadł obok. Nie protestowała, gdy otoczył ją ramieniem.

- Będzie dobrze. Znam Coltona, to twardy gość.

Rozpaczliwie chciała mu wierzyć. Kolejne godziny oczekiwania na wynik operacji ciągnęły się w nieskończoność. Jamie dostał leki uspokajające i pokój tylko dla siebie. Gdy Maddie po raz trzeci wróciła od brata do poczekalni, obok Aideną zastała Coopera, Siyotę oraz matkę i ojczyma Coltona. Czekali w ciszy. Potem wreszcie dwaj mężczyźni ruszyli do nich korytarzem.

Maddie poderwała się na nogi. Jeden z mężczyzn był w stroju chirurga, drugi, koło sześćdziesiątki, w spodniach khaki i białej koszuli z podwiniętymi rękawami. Maddie odniosła wrażenie, że skądś go zna.

- Było ciężko i trochę to trwało - stwierdził chirurg. - Fragment kuli ulokował się obok kręgosłupa, ale udało się go wyjąć. Będzie dobrze.

- Dzięki Bogu - powiedziała Maddie nieświadoma, że Aiden ją podtrzymuje.

- Przyleciałem zaraz po telefonie Aideny - rzekł mężczyzna w spodniach khaki do matki Coltona.

- Dziękuję. - Susan go objęła.

- Nie mnie dziękuj. To nie ja operowałem - odparł mężczyzna. - Doktor Carroll uratował mu życie.

- Dziękuję, że tu byłeś - powiedziała Susan. - To wiele dla mnie znaczy.

- To nasz syn. Jak mogłoby mnie zabraknąć?

Teraz Maddie rozumiała, czemu mężczyzna wydał jej się znajomy. Obaj z Coltonem byli wysocy i mieli atletyczną sylwetkę, choć ojciec Coltona w przeciwieństwie do syna miał jasnobrązowe włosy i szare oczy. Colton odziedziczył też po nim dołeczki w policzkach i sposób mówienia, jednocześnie pewny siebie i dodający otuchy.

Chirurg przekazał im szczegóły zabiegu i zapoznał ich z rokowaniami. Ojciec Coltona wyciągnął rękę.

- Pani pewnie jest Madeleine. - Objął ją ciepłym spojrzeniem. - Simon Black, ojciec Coltona.

Uścisnęła mu dłoń.

- Skąd pan wie, kim jestem?

- Rozmawiałem wczoraj z Coltonem, dużo o pani mówił. - Simon uśmiechnął się, a Maddie poczerwieniała. - Jak tylko odzyskał przytomność, pytał o panią.

- Odzyskał już przytomność? - Maddie wiedziała, że nie ma prawa go widzieć, skoro rodzice i najlepszy przyjaciel na to czekali, ale bardzo tego pragnęła.

- Dostał silne środki uspokajające - mówił Simon. - Przez wiele godzin się nie obudzi. - Uśmiechnął się. - Sugeruję, żeby pani wróciła jutro, lecz coś mi mówi, że pani mnie nie posłucha.

- Mój brat leży na dole, zostanę z nim na noc, ale i tak nie zostawiłabym Coltona.

Sięgnąwszy do kieszeni, Simon wyjął notes i pióro, napisał coś, potem wyrwał kartkę i podał ją Maddie.

- Mój numer. Zostanę w Reno, aż Coltona wypiszą. Proszę do mnie dzwonić w razie czego. - Zerknęła na Susan i jej męża, którzy rozmawiali z chirurgiem. - Zabieram Susan i Billy'ego na lunch. Zapraszam, będzie mi miło.

- Dziękuję, ale wolę zostać.

- Rozumiem. Wezmę teraz do niego Susan, tylko na moment.

Maddie odprowadzała ich wzrokiem, żałując, że nie może im towarzyszyć.

- Pani Howe?

Obejrzała się i zobaczyła Coopera.

- Może od razu złoży pani zeznanie, skoro i tak pani tu siedzi?

Chętnie się zgodziła. Przez kolejne pół godziny opowiedziała wszystko, co wydarzyło się od chwili, gdy otrzymała wiadomość od porywaczy Jamiego. Ukryła jedynie szczegóły intymnych chwil z Coltonem.

- Wie pani - rzekł w końcu Cooper - że powinienem wnieść przeciw pani oskarżenie?

- Ale pan tego nie zrobi.

- Nie. Proszę to uważać za uprzejmość wobec Coltona. - Wstał i schował notes i pióro do kieszeni. - Radzę jednak odbyć długą rozmowę z bratem na temat pułapek hazardu.

- Proszę się nie martwić, chyba już to zrozumiał. Wróci na studia i będzie musiał na siebie zarabiać.

Cooper uniósł brwi i uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Powodzenia, pani Howe.

Ostrożnie weszła do pokoju Coltona. Jego rodzice i ojczym wyszli już ze szpitala, ale mieli wrócić po południu. Cooper, Aiden i Siyota obiecali wpaść następnego dnia. Jamie odpoczywał w swoim pokoju na dole, więc Maddie mogła zajrzeć do Coltona. Nie była przygotowana na to, co zobaczyła.

Leżał na wąskim łóżku, podłączony do kroplówki i monitora pracy serca. Oczy miał zamknięte. Gdyby nie lekko unosząca się w oddechu klatka piersiowa, wątpiłaby, czy Colton żyje. W pokoju unosił się słaby zapach środka dezynfekującego. Okna były zasłonięte.

Przyciągnęła do łóżka krzesło i dotknęła ręki Coltona. Nie reagował, nie był świadomy jej obecności. Na jego kciuku dojrzała niewielką bliznę i zastanowiła się, skąd ją ma. Opowiedział jej o swoim dorastaniu, ale wciąż mało o nim wiedziała. Nie знаła jego ulubionego koloru, choć podejrzewała, że to czarny. Wiedziała, że lubi pieczone kurczaki i wędkowanie. Kochał rodzinę i utrzymywał bliską więź z przyjaciółmi z dzieciństwa. Był honorowy i uczciwy.

Gdyby nie spotkali się w barze, Colton nie byłby ranny i odpoczywałby teraz z zimnym piwem i wędką. Jamie mógłby poważniej ucierpieć. Ona nie wiedziałaby, jak to jest żyć pełnią życia. Prawdę mówiąc, gdyby nie Colton, mogłaby już nie żyć. Trafiła go przeznaczona dla niej kula. Łzy przesłoniły jej wzrok.

- Proszę, wyzdrowiej - szepnęła przez łzy i przycisnęła jego dłoń do policzka. - Ja też chyba się w tobie zakochuję, chcę ci to powiedzieć.

- Wiem.

Uniosła głowę. Colton patrzył na nią przez zmrużone oczy, lekko uśmiechnięty. Pochyliła się i obsypała jego twarz pocałunkami.

- Cii - mruknął. - Za dzień czy dwa stąd wyjdę.

- Ty wariacie - powiedziała, tłumiąc szloch. - Mogli cię zabić.

- Mowy nie ma - odparł. - Mam po co żyć.

Wyprostowała się, nie puszczając jego dłoni.

- Bardzo cię boli?

- Prosiłem lekarza, żeby mnie nie truł lekami, dopóki cię nie zobaczę. - Owinął kosmyk jej włosów wokół palca. - Jesteś cała i zdrowa. Od razu mi lepiej. Jak brat?

- Trochę potłuczony, nic poważnego - zapewniła.

- To dobrze. - Poruszył się i skrzywił. Maddie chciała się odsunąć. - Nie, zostań.

- Zawołam pielęgniarkę.

- Później. Chcę z tobą porozmawiać.

- Okej, ale krótko. Twój ojciec, Aiden i Cooper zamknęliby mnie do końca życia, gdybym cię zmęczyła.

Colton zaśmiał się, a potem jęknął.

- Gdzie moje rzeczy? Ubrania?

Rozejrzała się i na krześle w rogu zobaczyła szpitalną plastikową torbę. Wstała i przyniosła ją Coltonowi.

- Proszę.

- Sprawdź w przedniej kieszeni dżinsów.

Na moment wzięła do ręki zakrwawiony T-shirt i na widok maleńkiej dziurki zadrżała. Odłożyła go, po czym wsunęła rękę do kieszeni dżinsów.

- To chciałeś? - Wyjęła mały kluczyk na łańcuszku i podała go Coltonowi, ale odepchnął jej rękę.

- Jest twój.

- Mój? - zapytała zaskoczona. - Nigdy go nie widziałam.

- Jest coś jeszcze, w tylnej kieszeni.

- Colton, nie sądzę...

- Proszę, wyjmij to.

Zmarszczyła czoło i wyjęła złożoną kopertę. Chciała mu ją podać, gdy zobaczyła napisane charakterem pisma dziadka swoje imię. Popatrzyła na Coltona.

- Co to jest? Skąd to masz? - Podeszła do okna, gdzie było lepsze światło.

- Zabrałem ten kluczyk z domu twojego dziadka. Był w puszcze, a ciebie nie interesowało nic prócz pieniędzy.

- Ale co to jest? - pytała przejęta. - Czemu nie wiedziałam o tym liście?

- Bo był zamknięty w sejfie w banku w Reno.

Nie posiadała się ze zdumienia.

- To kluczyk do skrytki w banku?

Colton skinął głową, krzywiąc się z bólu.

- Chciałem, żebyś wiedziała, co jest w tej skrytce.

Przysiadła na skraju łóżka i ujęła jego dłoń.

- Okej, słucham.

- Otrzymałem pozwolenie i wczoraj po południu otworzyłem skrytkę. Znalazłem trochę ponad dwieście tysięcy dolarów w gotówce. I ten list.

- Co? - Nic z tego nie rozumiała.

- Twój dziadek nie przechwalał się, mówiąc, że ma w domu fortunę - wyjaśnił Colton. - Ale chodziło mu o ten kluczyk.

Oślupiała. Dziadek upierał się, że jego dom to kopalnia złota. Uznała, że to demencja starcza. A Colton zobaczył kluczyk i wiedział, co z nim zrobić.

- Czemu mi od razu nie powiedziałaś?

- Bo nie miałem pojęcia, co jest w skrytce. - Spojrzał na nią czule. - Poza tym czybyś mnie posłuchała?

Pogłaskała jego policzek.

- Pewnie nie. Stwierdziłabym, że to pułapka. Ale tyle pieniędzy? Skąd na Boga...

- Przeczytaj list, kochanie.

Obróciła w rękach zaklejoną kopertę.

- Nie czytałeś go?

- Oczywiście, że nie - odparł lekko urażony.

- Przepraszam.

Otworzyła kopertę i drżącymi palcami wyjęła kartkę. Sądząc z daty, list został napisany osiem lat przed śmiercią dziadka, w czasie, gdy Jamie od niego uciekł i przyjechał do Maddie. Kiedy dziadek najczęściej pił. Pismo było koślawe, jak pismo dziecka albo pijaka. Maddie zastanawiała się, czy dziadek napisał list w alkoholowym transie, a potem o nim zapomniał. Bo czemu wcześniej jej go nie dał?

Przeczytała list raz, potem drugi. Kiedy skończyła, łzy zalewały jej policzki.

- Chodź do mnie. - Colton przyciągnął ją do siebie. - Wszystko będzie dobrze.

Pociągnęła nosem.

- Wiem. On napisał, że miał te pieniądze od lat, ale sumienie nie pozwalało mu ich wydać. - Wyprostowała się i wyjęła chusteczkę z pudełka na stoliku. - Nie musimy teraz o tym rozmawiać. Odpocznij.

Colton mocno ścisnął jej rękę.

- Nic mi nie jest. Potem odpocznę. Co jest w liście?

- Okej, ale daj mi znać, jak się zmęczysz. - Prawdę mówiąc, chciała mu wszystko powiedzieć. - Dziadek całe życie był hazardzistą - zaczęła - i był w tym dobry.

Kiedy wydawało się, że ojciec pójdzie w jego ślady, dziadek ciągnął go na terapię, mówił mu, że wszystko straci, także dzieci. W końcu ojciec rzeczywiście wszystko stracił, w tym cudze pieniądze. Dziadek odmówił spłacenia jego długu, uważał, że dla ojca to będzie nauka. Nie przyszło mu do głowy, że ojciec się zabije.

- Tak mi przykro.

Maddie odchrząknęła.

- Dziadek mógł mu pomóc. Myślę, że nigdy sobie nie wybaczył, że tego nie zrobił. Dlatego potem zaczął tak pić.

- To wielki ciężar na sumieniu.

- Matka zmarła rok wcześniej na raka. Dziadek pisze, że w dniu, kiedy się do niego wprowadziliśmy, przestał grać. Chciał być dla nas wzorem, przeznaczył pieniądze na naszą edukację. Ale nie potrafił powstrzymać się przed piciem.

- Robił, co mógł - zauważył Colton.

Maddie skinęła głową.

- Tak. Na końcu prosi nas o przebaczenie, pisze, że ma nadzieję, że pieniądze, które nam zostawia, jakoś zrekompensują to, co nam z ojcem zafundowali.

Maddie położyła głowę na piersi Coltona.

- Przykro mi, że musiałaś przez to przejść, ale nie żałuję tego, co się działo przez kilka ostatnich dni.

- Ani ja - odparła. - Poza tym, że zostałeś postrzelony.

- Co teraz zrobisz? Dwieście tysięcy to kupa pieniędzy.

Chciała odpowiedzieć, że nie dba o pieniądze, chce tylko z nim być. Całe życie obywatela się bez dużych pieniędzy, nie były jej potrzebne do szczęścia.

- Nie wiem - odparła z uśmiechem. - Zachowam je jako rezerwę na ewentualny kolejny okup za brata.

Colton uniósł brwi i objął ją znanym jej już spojrzeniem.

- Chyba mi się to nie podoba.

- Nie. Nie dopuszczę do tego. Na początek kupię nowy samochód. Jamie zgodził się pójść na terapię. Może pieniądze przydadzą się na pomoc innym uzależnionym nastolatkom, którzy nie mają szansy na terapię. Jamie weźmie też udział w specjalnym programie, ostrzegając inne dzieciaki przez hazardem. To jego pomysł.

- Hej, spójrz na mnie.

Uniosła głowę.

- To wszystko jest okej, o ile bierzesz też mnie pod uwagę.

- To znaczy, że wciąż jesteś mną zainteresowany? - spytała nagle zawstydzona.

Colton się zaśmiał.

- Nie spuszczę cię z oka. Nadal jestem na urlopie. Może spędzisz ze mną tydzień nad wodą?

- No nie wiem. - Udała, że się zastanawia. - Nie jestem dobra w wędkowaniu.

- Wszystkiego cię nauczę, ale coś mi mówi, że dużo nie będziemy wędkować.

- To brzmi interesująco. Chyba musisz mi nadać nowe imię w języku Szoszonów, bo moje dni ucieczki dobiegły końca. - Pocałowała go ostrożnie.

- Nie jestem taki słaby. - Przyciągnął ją do piersi. - Powtórz to.

- Co? - spytała bez tchu.

- Że się we mnie zakochujesz.

Maddie się zaśmiała.

- To już przeszłość. Zakochałam się.

- No to chyba przydadzą się kajdanki - odrzekł. - A tak z ciekawości, jesteś szczególnie przywiązana do Elko? Nie myślałaś o przeprowadzce do Kalifornii? Podobno bardzo potrzebują tu księgowych.

- Żartujesz.

- Skąd. Twój brat uczy się w Pasadenie, to dwie godziny drogi od San Diego, gdzie mieszkam. Nie chciałabyś być bliżej brata?

- Chciałabym być bliżej ciebie.

- To zostań ze mną. Przekonaj się, czy ci się spodoba, a potem pogadamy. Mam ładny dom niedaleko wody, ale zrozumieć, jeśli wolałabyś mieszkać osobno. Księgowi są wszędzie mile widziani.

- Podoba mi się ten pomysł - przyznała poruszona.

- To co, w porządku?

- Tak.

- To chodź tutaj. - Objął ją i pocałował.

Nigdy nie była szczęśliwsza. Jamie wyszedł cało z opresji, ona nie została aresztowana. Skończyły się kłopoty finansowe, teraz mogła nawet pomóc innym walczącym z nałogiem. Ale najważniejsze było to, że Colton przeżył i chciał spędzić z nią życie.

Żadne z nich nie zauważyło, że drzwi się uchyliły i do pokoju zajrzały dwie pielęgniarki. Na widok przystojnego policjanta, który namiętnie całował swą dziewczynę, westchnęły i cicho zamknęły drzwi.

Nazwa pliku: KXaren FXoley - ZXakładnik
Katalog: C:\Users\Iwona\Documents
Szablon: C:\Users\Iwona\AppData\Roaming\Microsoft\Szablony\Normal.dotm
Tytuł:
Temat:
Autor: Iwona
Słowa kluczowe:
Komentarze:
Data utworzenia: 2015-05-18 07:24:00
Numer edycji: 9
Ostatnio zapisany: 2015-05-22 07:49:00
Ostatnio zapisany przez: Smile Elona
Całkowity czas edycji: 61 minut
Ostatnio drukowany: 2015-05-22 07:49:00
Po ostatnim całkowitym wydruku
Liczba stron: 78
Liczba wyrazów: 28 347 (około)
Liczba znaków: 170 088 (około)

TLR